3 1761 08108845 2

Józef Jankowski.

RYTMY I RYMY.

WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Teodora Paprockiego i S-ki.
41. Nowy-Świat 41.
—
1898.

RYTMY i RYMY.

Druk. Artyst. Saturn. Sikorskiego, Nowy Świat Nr 47.

Józef Jankowski.

Rytmy i Rymy.

WARSZAWA.
Nakładem Księgarni
Teodora Paprockiego i S-ki.
41. Nowy-Świat 41.
—
1897.

LIBRARY
AUG 14 1969
UNIVERSITY OF TORONTO

Дозволено Цензурою.

Варшава, 26 Августа 1897 г.

PG
7158
J265R87

Hymn.

Cześć Prawdzie, cześć!...
I ludzkiej zacnej Woli!
Idziemy wieńce spleść
Z ojczystej kwiatow roli
Tym, ktorym błyska z czoła
Promienna myśl anioła,
A z oczu dobra wieść,
A z serca zdrojna treść
Dla zbożnych cnót kościoła:
Idziemy wieńce spleść
Dla prawdy — której cześć!...

⁂

Od środka gnuśnych rzesz,
Od samolubnej pychy,
Ty serca kielich cichy
Strzelistych wzorem wież
Ku niebu światle nieś!
I okiem jasnem mierz
Lot duchów wwyż i wszerz —
A ufność przyjmij ztąd:

Iż nad doczesny prąd,
Co na szczęśliwe szańce
Wynosi liche brańce,
Bluźniące wszej ofierze
Przebiegłej gry szermierze,
Plwające w Prawdy serce
Złoczelne spadkobierce:
I Sąd, i Zakon-Wgląd
Najwyższy istnie gdzieś...

⁂

I że dla ziemi kęska
Porażka albo klęska,
Wpleciona w świateł ruch,
Po wieczny czas — zwycięzka!...
Bo w wiecznej słońc krainie
Ku chwale twojej płynie,
Ku szczęściu twemu żywie —
Na tej słonecznej niwie,
Gdzie świeci duch...

⁂

Więc tobie, Wiaro, cześć!...
Bo jasne twoje wodze,
Bo tobie ludzie wieść
Po kamienistej drodze,
Otwierać nieba bramy
I żyzne lać balsamy
Na niezbliźnione szramy,
Na dusze, kiedy w trwodze,

Na serca, gdy w ożodze:
Na wszystkie rany kłaść
Kojącą niebios maść...

⁂

I tobie, Piękno, cześć!...
Urokiem wiecznym pieść
I wzorem rajskich farb
Serc ludzkich czystość skarb —
I w Prawdzie, w Prawdzie mieść
Swój drogocenny skarb,
Lecz z nieb — z wysokich nieb
Na ziemię znoś i szczep
Aniołów jasny chleb!

⁂

Więc tej, co wszystkie łączy
Pod srebro swej opończy,
I wielka, i rodzima,
W rozrządzie wszystkie trzyma,
I sama w sobie wciela
Przedziwną Jedność Wiela,
Przejasny Wdzięk Wesela,
I Świat, i Stworzyciela,
I wszystką żywą dzielność,
I wszystką dusz rzetelność,
I wszystką nieśmiertelność:
Miłości jaśniejąca
Nad wszystkie nieba słońca!
Miłości stwarzająca,

Miłości Prawdą tchnąca,
Miłości kochająca,
Miłości Przebaczenia,
Miłości Poświęcenia,
Miłości Odkupienia:
Tobie
W bijących serc zasobie,
Ze wszystkich żywych tchnień,
We wszystek dźwięczny chór,
Aż po ostatni dzień,
Aż po ostatni twór,
W gasnących słońc żałobie
Ostatni Ziemi cień:
Tobie!
Dechu z Boga
W bezkres, w lata...
Siło mnoga!
Serce świata!
Cześć! cześć! cześć!

DO ZIEMI.

I.

Do swoich — do ojców, jak gdyby w sto koni,
Zdaleka, z za morza powracał Antoni, —
Na mozół gotowy najcięższy i troskę,
By prędzej zobaczyć rodzinną swą wioskę,
I lasy, i błonia, i krzyże nad drogą,
I strzechę słomianą, i czeladź ubogą,
I wszystko co tutaj zostawił przed laty, —
Do czego tak rwał się, jak więzień z za kraty...
Bo taka nad człekiem z natury już władza:
Że niechaj mu obca kraina dogadza,
On zawsze zatęskni do swoich — do ziemi,
Gdzie wyrósł z kwiatami na łąkach polnemi,
Gdzie wszystko co jego, najmilsze kochanie,
Gdzie smętarz, gdzie miejsca dla niego zostanie...
Bo mówią — a jakże być może inaczej? —
Że jeśli za życia swych stron nie zobaczy.
I łanów tych, które ojcowe rżną sochy,
Od których odjeżdża nie jeden syn płochy,
To nawet, gdy trumnę mu robak przewierci,
Do onych serdecznie zatęskni po śmierci —
I póty tam płacze i Boga mozoli,

Aż wreszcie duszyczce na ziemię pozwoli, —
Więc wraca w księżycu cichutko pod strzechy,
Ostatniej doznając pośmiertnej pociechy...
Ot, chyba by trzeba wielkiego grzesznika,
By Bóg mu takiego odmówił promyka —
Ot, chyba by człeka, w kim serca już niéma,
Kim gardzić powinna ta ziemia rodzima,
W kim ono za życia ponuro i szpetnie
Na trupa zczernieje lub grudą się zetnie.

II.

Za gwiazdą swą szczęścia przeróżnie człek goni...
Przed laty dziesięciu odjechał Antoni,
Z namowy niemieckiej — na błędne ogniki,
Do onej za światem — hen — tam — Ameryki.
Odjechał i wioskę, i ziemię porzucił,
I ojca okrutnie, jak śmiercią zasmucił —
Bo jakże to serce ojcowskie nie boli,
Gdy dziecko odjeżdża miast ostać na roli!
A choćby tam miało dostąpić fortuny,
Toć ojcu przez czas ten być może—do truny,
I zejdzie strapiony do Chwały tej Bożej,
Synowi krzyżyka na głowie nie złoży,
A Bóg go zapyta: — tam ostał na roli
Ktokolwiek? — a ojca, jak ogniem, zaboli —
I łzami odpowie: — taj nie, Panie Boże!
Odjechał mnie synal jedyny za morze! —
Pojechał Antoni bez grosza — chudzina,
W spencerku — taż na nim ozdoba jedyna,
I kozik u pasa, świecącą z dziur piętę —
Lecz takoż i serce wziął z sobą zawzięte...
Posługi sprawował na onym okręcie,

Co wiózł go po wody wzburzonym odmęcie,
I wiele tam przeszedł z różnego powodu
Choroby i strachu, i nędzy, i głodu, —
Lecz w końcu to przemógł, przecierpiał wytrwa-
[le —
I oto nie skąpo Bóg zdarzył w udziale:
Przez różne przechodził dziwaczne koleje,
A szczęście, jak dziewczę, gdy pięknie się śmieje,
Chodziło z nim wszędy, przybrane we wstążki,
Że złote przygarniał, jak zboże, pieniążki;
I oto się stało: dziś wraca bogaty —
Po latach dziesięciu — i piękne ma szaty,
I z pańska wygląda — i pełny też worek,
Że choćby trzy włóki zakupić i dworek!
Ha! Boża w tem wola: wie dobrze, co czyni!
I nieraz ci sypnie obficie ze skrzyni,
A jeśli ty, człecze, Go nie masz w zamiarze,
Co-ć potem! — gdy zechce, to zawsze ukarze —
I jako kłos marny, odrzuci cię z pola,
Żeś w cnocie nie dostał, bo Jego w tem wola,
Bo on ci naukę najwyższą dał z Nieba:
Że Jego i Ziemię tę kochać potrzeba!
A jakoż do Boga, kto ziemi nie kocha,
Co-ć przecie rodzona i matka — nie płocha?...

III.

Na dworzec kolei przyjechał Antoni,
I wyszedł na ganek, zażądał w lot koni,
Gdyż jeszcze wiorst parę do wioski zostało,
Choć pierwej na miejscu był duszą już całą...
A właśnie się zdarzył gospodarz z tej wioski,
Mający go dowieźć do chaty ojcowskiej,
Lecz Antka nie poznał; nie wielkie to dziwo:
Czas ludzi odmienia za gwiazdą szczęśliwą,
Gdy bieda niech biedę po latach napotka,
Odrazu ją pozna, jak swoję — z opłotka...
Sporządził chłop sanki, przyodział je derą,
Ruszyli po śniegu — ponową tą szczerą.
Pod wieczór się miało, i mrozik świeżutki
Od strony północnej wietrzykiem dął w dudki—
I pola dokoła, gdzie oko zajrzało,
Jak płachtą pokryte czyściutką i białą...
A słońce w zachodzie ogromne, czerwone,
Na śniegi te kładło jarzącą koronę,
Jaśniejszą od złota i kraśnych korali,
Bo Bóg to najpiękniej na Chwałę swą pali...

Śnieg skrzypiał, zdaleka głos dobiegł niektóry,
I z chałup dym siny szedł prosto do góry...
Gdy ujrzał Antoni znajome te strony,
To serce, jak wosk, mu rozmiękło stopiony —
I było mu dziwnie na sercu w tej porze,
Jak gdyby w kościele na wielkim nieszporze,
A potem toż razem do płaczu i żartu,
Choć w onej Brazylii był nabrał dość hartu...
Więc nie mógł wytrzymać za sercem i głową,
I z onym wiozącym zagadał tą mową:
— A znacie wy Grzędę Macieja? — powiada,
(Bo tak się Antkowy zwał rodzic od dziada), —
Ten na to: — Co nie mam — gdy jestem z tej
[wioski...
— Zdrów aby?... Ten znowu: — tać zdrów z ła-
[ski Boskiej,
— A jakże tam jemu?...—Tać ma na zagrzanie...
Wio siwki! Jak dobrze, gdy pije wciąż, panie!
— To czemu? skąd przyszło?...—Bóg wiedzieć to
[raczy,
Pewnikiem z frasunku, czy jak tam — z rozpa-
[czy —
Po synie, co kiedyś odjechał za morze:
Zalewa robaka, taj zalać nie może.
Pamiętam go dobrze przed laty dziesięciu:
Chłop tęgi i trzeźwy, a orał za pięciu, —
A teraz — ot wszystko i opak, i marnie,
I żyd mu pewnikiem te morgi zagarnie...
Oj, panie! w żydowskie kto wlezie raz łapy,

Nie rychło po świecie... Żyd zdusi... Wio
[szkapy!
Antoni zamilknął — a potem po chwili:
— A moi wy drodzy! a moi wy mili!
A spójrzcie no tylko! przypatrzcie się zbliska,
Cóż?... toż-em Antoni, a Grzęda z nazwiska;
Antoni, ten samy, syn Grzędy Macieja,
A któżby się sercem tak witał, jak nie ja...
Włóczyłem się dosyć po obcym tym świecie,
Bóg szczęścił! dziękować — mam dosyć w ka-
[lecie —
Powracam — staremu do kolan się skłonię,
Osiędę tu z wami na jednym zagonie,
A żyda opłacę — i gruntu przykupię,
To szczęście na nowo zaświeci w chałupie...
Oddawna już chciałem, — nie mogłem, Bóg
[świadkiem!
Lecz teraz staremu wypłacę z naddatkiem,
Nie ruszę się z miejsca, — to na co mi trzeba,
Gdy z roli tej Bożej najwidniej do nieba!...
I z wami wszystkiemi — z całutką gromadą
Żyć będę po Bogu — chrześciańską zasadą,
Bom przecie katolik, nie żaden przechera,
Co jeno za zyskiem się podłym obziera...
Tak mówił, — co kiedy usłyszał wiozący,
Za głowę się chwycił i aże niechcący
Nowiutkie upuścił z furmanki biczysko:
— O! Jezu! o, rety! Jakże to! Panisko!
Pan wraca do chaty... O! ludzie, dziwcie się!

Myśleliśwa — zginął, jak echo w tym lesie...
Toż stary dopiero ucieszy się Maciej,
Odrazu się dźwignie, odrazu zbogaci —
I wódce pewnikiem raz powie już: basta...
Lecz nie masz go właśnie, pojechał do miasta,
Na kiermasz — i pewno pod nockę zabawi...
Toż gdyby to wiedział, pospieszałby żwawiej —
A ktoby się spodział!... O! Święty Jezusie!...
Lecz w chacie panisko zastanie Jagusię,
Toć siostrę! urosła — dziewucha, o, taka!
Z małego przed laty urosła pędraka —
Toż teraz, mój Boże! jak słonkiem przygrzeje,
Bo Maciej był całkiem już stracił nadzieję,
I chodził markotny, -- lecz teraz dostoi!
Wiadomo — pan taki!... O, ludzie wy moi!...
Więc na to Antoni: — nie mówcie mi: panie,
Bo w jednym na roli zrodzeni my stanie,
Lecz mówcie, jak ono się braciom należy,
Bom przecie gospodarz i brat wasz, choć świe-
[ży...
Więc rzeknie gospodarz: — kiej tak mi niejako...
Więc na to Antoni z serdeczną oznaką
Powstanie i szyję sąsiada oplata,
I w gębę rzetelnie całuje, jak brata,
Zapyta o imię, a potem już dalej,
Gawędząc ze sobą, jak swoi, jechali, —
A wreszcie i wioska, skręcili przed chatę —
I psisko z zagrody skoczyło kudłate,
Lecz dziwo! choć widzi obcego człowieka,

Nie warczy, nie targa, zajadle nie szczeka,
Lecz skacze na piersi, skowyczy u nogi,
Jak gdyby wiedziało, że wraca gość drogi;
Więc Antka wzruszyło takowe psie czucie,
I uczuł coś niby, mgły rzewnej rozsnucie,
Za zmyślność psią, która tak serce rozbraja,
I głaskał i pieścił kudłacza Zagraja.
A potem onego, co wiózł, gospodarza
Opłaca i hojnie gościńcem obdarza —
I prosi go razem na stronie: jeśliby
Napotkał Macieja w bliskości siedziby,
To niechaj nie mówi, niech wieści zaniecha,
To będzie staremu milejsza pociecha,
Gdy sam go obaczy pod strzechą tą niską
I pozna oczyma lub sercem — ojczysko.

IV.

Do izby Antoni wszedł, jakby do raju —
I Boga pochwalił, świadomy zwyczaju,
A przed nim stanęła zlękniona, jak trusia,
Bo brata nie znała, dorodna Jagusia.
Antoni, Bóg świadkiem, choć serce się rwało,
Przytulić pragnące siostrzyczkę nieśmiałą,
Nie zdradził się jednak, to mając na względzie,
By czekać ze wszystkiem, aż stary przybędzie.
Więc tylko tak rzecze: — Jestem ci podróżny,
A pragnę w tej chacie gościny usłużnej, —
Odpocząć i zjeść co, bo jadę z daleka,
A głód mi po prawdzie we wnętrzu dopieka;
Więc zechciej zakrzątnąć się, śliczna dziewuszko,
Bo mniemam: z tym liczkiem masz piękne serdu-
[szko.
Więc zaraz dziewczynie na układ słów taki,
W uśmiechu na licach wykwitły dwa maki,
I duchem poskoczy, poszuka pokątnie,
I koło wieczerzy, jak fryga, zakrzątnie.
Już drewka nakłada, zapali, rozdmucha —

Już buchnął płomieniem: najmilsza dziewucha!
Nie uszło pacierzy dwóch w całej tej rzeczy,
A już tam w patelni coś skwierczy i skrzeczy...
A kogo nie cieszy, a kogo nie pieści,
Gdy pośpiech, jak z płatka, okrzętny, niewie-
[ści?...
Więc zatem, jak każe uprzejmość godziwa,
Przed gościem stół białym obruskiem nakrywa,
Wyjmuje ze szafy cynowe talerze —
I z ognia gorącą przynosi wieczerzę:
Zaś—co? jajecznicę—i tłusta w niej szperka, —
Z lubością Antoni na taki ład zerka.
Je smacznie — i o to, o owo wciąż pyta:
A jaki urodzaj? czy siejba obfita?
A ile par wołów? i krowy czy dojne?
Czy dola nie ciężka? czy życie spokojne?
I jak się zwie pleban? czy dbają dokoła
O wszelką należną ozdobę kościoła?
Czy mają w tej wiosce chrześciańską gospodę,
To zamiast tej karczmy, co ludziom na szkodę,
A w której nie zazna człek Boga, ni ciszy...
I ciągle tak pyta, — a z tego, co słyszy,
To pojmie, to zbada, to przejrzy do skutku,
A razem toż widzi, że bardziej — do smutku.
Lecz siebie, kto taki, bynajmniej nie zwierza:
Tak przeszła w gawędzie serdecznej wieczerza.
A zjadłszy, uprzejmie dziękował gosposi
I patrzył tym wzrokiem, co szczęście przynosi,
Bo miłość braterską w otwartem miał oku.

A potem wyjąwszy pulares od boku,
Piętnaście papierków nowiutkich wybierze
I złoży na stole: — a to za wieczerzę!
Weź, dziewczę kochane! a jeśli pozwoli
Bóg, może jaśniejszej doczekasz się doli...
Dziewczyna za szczęścia takiego podmuchem,
Spłonęła i lice zakryła fartuchem,
Bo dziwno jej było z tej mowy przystojnej,
Że pan ten tak dobry, tak grzeczny, tak hojny!...
Więc on jej znów powie: — a teraz, ma Jagno!
Zadrzemałbym trochę, bo oczy snu pragną —
I takem znużony daleką podróżą,
Że całkiem już myśli i oczy się mrużą, —
Więc w chacie mi swojej nie odmów kącika,
Niech w cieple tem oczy sen słodki zamyka...
Jagusia — ja nie wiem — ptasiego by pierza
Dać rada, — prowadzi przez próg do alkierza,
Gdzie łóżko czyściutkie, jej ręką zasłane,
I święci nad łóżkiem zajęli tu ścianę, —
Dobranoc mu powie i grzecznie się skłoni,
Pozostał sam jeden w alkierzu Antoni.

V.

A trzeba mu było, gdyż czuł się zdrożony —
I w uszach coś niby dalekie czuł dzwony,
I głowa ciężyła mu, niby ołowiem,
Tęskniąca ogromnie za miękkiem wezgłowiem.
Nie dziwo! kto wraca z dalekiej podróży —
Do swoich, powietrze go samo odurzy —
I tak mu w pamięci i w sercu coś wskrześnie,
Że będzie z radości tej chodził, jak we śnie —
I własnym upajać się będzie oddechem,
Ogromnym na duszy jaśniejąc uśmiechem,
Aż znuży się wreszcie i za snem pogoni,
By jedno snuć dalej: toż czuł i Antoni.
Lecz zanim się do snu miłego zabierze,
Uklęknie przed łóżkiem, odmawia pacierze —
I Bogu gorącą zanosi ofiarę,
Że dał mu te ściany znajome a stare...
Że wyrwał go z życia burzliwej topieli
I zdziałał, że oto ze swemi się dzieli.
Gdy skończył, pozostał, ukrywszy twarz w ręce,
Oddając się duszą Najświętszej Panience,

A z serca, jak rybek podwodna gonitwa,
Bijąca ku górze, płynęła modlitwa:
— Najświętsza Panienko! Królowo Ty nasza!
Patrząca z pod niebios złotego poddasza
Na ziemskie te ludy, pod Twoję obronę
Idące, jak owce przed burzą spłoszone, —
A ty z nich każdego Twą świętą opieką
Osłaniasz,—litosna, gdy ludzkie łzy cieką —
I ziemi tej biednej, gdzie smutek się pleni,
Z Twej szaty złocistej użyczasz promieni,
A tam gdzie upadnie choć jeden z tych kroci,
I życie różane, i dola się złoci:
Spraw, Święta Panienko! niech wnętrze tej chaty
Nawiedzi Twój promień niebieskiej oświaty!
Niech pod nim najmilsze wykwitnie kochanie!
Niech wola Twa święta we wszystkiem się sta-
[nie!
Oddaję Ci duszę tę moję i ciało,
Przed Twoich aniołów korzący się chwałą.
Tak modlił się, potem śród pięknych omamień
Na łoże się rzucił—i zasnął, jak kamień.
I we śnie od nieba do ziemskich padołów
Obaczył schodzących prześlicznych aniołów:
Z powietrza—w cichości—srebrzyści i biali
Na pola zstąpili i z srebrnych szat siali...
I zaraz cudownie na onym ugorze
Dorodne wschodziło, jak jeden kłos, zboże:
Nie takie zwyczajne i liche, i sielskie,
Lecz zboże w promieniach stojące—anielskie...

I całe to pole ze złotych zbóż łana
Tak stało, jak zorza złociście rozlana,
A pośród tej wielkiej rosnącej jasności
Chodzili ci biali, ci święci, ci prości...
A potem już wszystko we śnie się zmięszało —
I tylko pod okiem czuł jasność tę białą...

VI.

Pod północ już było, gdy Maciej powrócił,
I konia co rychlej w wozowni porzucił,
I spieszył do chaty — omackiem przy progu,
Bo trzeźwy nie całkiem był — człowiek nałogu.
Jagusia nie spała: paliło dziewczynę,
By ojcu czemprędzej zwiastować nowinę, —
Więc ledwie na progu się zjawi, podbiega
I palec na ustach trzymając, ostrzega:
— Tatulu! cichojta!... nie czyńcie hałasu, —
Przyjechał pan jakiś — zażywa wywczasu...
Powiada: w podróży... spi teraz w komorze —
A grzeczny, tatulu! a jasny, jak zorze!...
Poprosił o nocleg i naszej zjadł strawy —
A jaki, tatulu, pan grzeczny, łaskawy!...
Dał tyle pieniędzy — aż prawie się boję,
O! patrzcie, co tego — i wszystko to moje!...
To rzekła i oczy starego zamami —
Toż plon! — rzuconemi na stół papierkami.
Gdy stary pieniężne obaczył te szmatki,
Źle łysnął oczyma, zaniechał cnej gadki —

I tylko półgębkiem rozpyta to owo
O gościa, a myśl ci miał złą, piorunową...
A potem z podełba patrzący, toż głucho,
Ze złością zawarknie: — spać ruszaj, dziewu-
[cho!
I zaraz, jak gdyby sam w sobie miał wroga
Na pościel się rzucił — i całkiem bez Boga!

VII.

Ucichło w chałupach, bo siedzib tych szlakiem
Oddawna biegnący sen hojnie siał makiem —
I wszystkich w najmilszym ułożył spoczynku:
Uwolnił od dziennych kłopotów spominku,
A komu źle było, to teraz mu lepiej,
Bo wszystkich orzeźwi, podeprze, pokrzepi
I pięknem widzeniem za trudy zapłaci...
Lecz nie śpi człek jeden, a człekiem tym Ma-
[ciej:
On czuwa, choć w pościel zakopał się z twarzą,
On snuje — i z serca mu gady wyłażą
I w okół po całej pościeli się wiją,
Gad wstrętny za gadem i żmija za żmiją —
Już na nim, już pod nim — i rosną wciąż zgrają,
Rozchodzą się, roją i w kłęby zwijają...
Tak wstrętne, plugawe za myśli złej gwiazdą,
Uczynił ze siebie łożysko i gniazdo.
A obok, skurczony na łóżka poręczy,
Siadł dyabeł złośliwy, nadełbem mu ślęczy —
I straszną namowę do ucha mu toczy,

I krwawe papierki podsuwa przed oczy...
Wiadomo — człek prawy niech krzyżem prze-
[żegna,
Nie dyabła jednego, stu dyabłów odegna, —
Lecz Maciej, — on złego wypuścił był z siebie,
Toż kuma — doradcę ma teraz w potrzebie.
Śród myśli, śród krwawych jakichś-ci pier-
[ścieni,
Wpół uniósł się, flaszkę wydobył z kieszeni,
Wlał w gardło dostatek i dyabłu dał takoż,
Bo on ci na wódkę najpierwszy jest smakosz...
I znowu się zwalił — i znów mu się mieni,
Lecz coraz plamiściej, lecz coraz czerwieniej,
A gady ohydniej się kłębią i syczą,
A dyabeł cieszący się pewną zdobyczą,
Wciąż bardziej się chyli, a szepce, a kusi —
Aż porwał się Maciej i rzeknął: być musi.
I z myślą, co piekłu swą duszę poleca,
Pocichu postąpił, wziął topór z pod pieca,
Zatrzymał się — słucha — postąpił — znów
[zmierza —
Już blizko — już ujął za klamkę alkierza —
Stój! człecze — Macieju! — na Boga — opieki!
Nie słucha — za progiem — zgubiony — na wieki.

VIII.

Antoni, jak zasnął z wieczora, tak leżał —
W ubraniu i na wznak — w świat piękny od-
[bieżał, —
I przez sen do czegoś uśmiechał się słodko, —
A może pieszczony rozgłośną tą zwrotką,
Hej! która echami po polach przepływa —
Pod zachód — gdy dziewki wracają od żniwa:
A oto ta pierwsza we wianku zbożowym,
Z odblaskiem na licu — ze złotoróżowym,
A za nią wślad inne stąpają ze śpiewem,
A piosnka toż leci z wietrzyka powiewem...
Bo właśnie marzący w tej chwili różowiej,
Był jako ten człowiek, co uchem dźwięk łowi,
I bardzo mu słodko i bardzo świetlanie,
Bo wszystką swą duszę położył w kochanie.
Przez szyby alkierza promienie księżyca
Pokładły mu srebra na piersi, na lica,
Włożone, jak w ramy, okiennym otworem,
A dychał snem równym i tętnem nie skorem, —
Wtem Maciej przed łóżkiem przystanął z toporem.

W twarz spojrzał, na krwawe ważący się dzieło,
I nic mu tam w sercu przeczuciem nie drgnęło,
I żadna iskierka nie spadła w odprysku
Z tych, które w ojcostwa zawarte ognisku!
Krew tylko, jak błotna ta rdza w uroczysku,
Do głowy mu biła w nieczystym otoku
I myśli w plugawym nurzała omroku...
I straszny był, dziki, jak ludzka potwora,
Bo z twarzy szatańska patrzała przekora —
I usta skrzywione — i dyabłów wzrok kosy...
A w koło szemrzące zebrały się głosy:
I owdzie z pod pieca, i owdzie z pod ławy,
Szydzące, piszczące — śród mętu i wrzawy...
I stał tak—i dostał tym wszystkim rozruchom,
Przeciwny zupełnie i Bogu, i duchom.
Wtem — jakby go tknęło, że w okno ktoś pa-
[trzy, —
Więc porwał się — spojrzał, do szyby dopadł-
[szy —
Nic — tylko śnieg biały — iskrzący — noc wi-
[dna —
I plama na śniegu—czerwona, ohydna...
Zawrócił — i naraz mu w oczach ściemniało:
Bo oto leżący — jak gdyby nieśmiało
Na łożu się uniósł — wyciągnął ramiona —
W uśmiechu powstaje — i twarz rozjaśniona...
Nie trwało sekundy — poskoczył oprawca —
I — — tutaj sam oczy zasłonił Bóg — Zba-
[wca!

Obuchem go zwali raz, drugi i trzeci.
Jęk tylko cichutki, jak z ptaka, wyleci —
I ciało opadnie — — i cisza grobowa —
A nawet z ust „ojcze“ nie wzięła mu słowa.
Miał czerep ohydnie przez zbójcę strzaskany —
Na ustach zastygał czerwony ślad piany —
I oczy okropne — wybiegłe z oprawy,
Na los się skarżące, że straszny i krwawy.
Pospiesznie zabójca uwijał się z trupem:
Kieszenie opróżniał, ładował się łupem,
A potem go w płachtę płócienną owinie —
I okno otworzy — i w pomnym skroś czynie
Na plecy podźwignie, do szopy wywlecze
I zwłoki we słomie ukrywa człowiecze.
Skrzypnęły wierzeje i zawył pies głucho, —
Więc tylko mu zaklął: spać pójdziesz, psiajucho!
I wrócił do izby i ślady zacierał, —
O wszystkiem pamiętał i wszystko pozbierał,
A potem spać poległ, najgorszy z siepaczy:
Jak spał tam i marzył, Bóg wiedzieć to raczy.

IX.

Już ranek, już dzionek, i wioska się rusza,
I krząta się Praca, gdzie była Snu głusza;
Ten sanki sporządza, pojedzie do lasu
Po drewka, bo całkiem mu zbrakło zapasu;
Ten bronę naprawia i kołki k'niej struga,
Bo już ci do wiosny nadzieja nie długa,
A wtedy i z sochą, i z broną — hej! w pole...
Gdzieniegdzie stuk cepów usłyszysz w stodole.
I coraz to gwarniej, i coraz już ludniej,
I żóraw raz po raz zaskrzypi u studni...
A mrozik milutki — i słonko przygrzewa,
I iskier tysiące na śniegu rozsiewa.
Już Jagna uwija się w chacie Macieja, —
Staremu sen jeszcze powieki zakleja,
Lub może udaje i czarno rozważa,
Bo sen się — wiadomo — nie ima zbrodniarza.
A Jagna ze sprzętem obchodzi się różnym
Po cichu, bo nie wie, jak z onym podróżnym:
Czy śpi tam w alkierzu gość zbożnej prostoty,
Czy może odleciał, jak jaki sen złoty...

Lecz nie śmie zobaczyć; wtem dźwignie się sta-
[ry.
Więc spyta i słyszy rzecz taką do wiary:
— Pojechał ci — na noc — i czasu nie tracił —
I dobrze — o, dobrze za nocleg zapłacił!
Choć nie wie, dlaczego, boleśnie i srodze
Ścisnęło się serce Jagusi niebodze,
I wzrokiem żałosnym pogoni po drodze...
Wtem w okno spojrzawszy, co widzi, powiada:
— O! patrzcie, tatulu! calutka gromada
Gdzieś idzie, jak gdyby na odpust zebrana, —
Na każdym odświętnie paradna sukmana...
Na przedzie Roch chrzestny z Błażejem starostą...
Dalipan! że do nas — zmierzają tu prosto.
Za słowem Jagusi wnet drzwi się otworzą
I wejdą z odświętną jasnością lic hożą
Starszyzna i których chałupa zmieściła,
A jeszcze na dworze zostało ich siła.
Więc Błażej najstarszy, skłoniwszy się, powie:
Najpierwej niech pokój tu będzie domowi,
I Wola Najwyższa i Boża Opieka,
Chroniąca w upadku grzesznego człowieka,
Gdy wszelkie ufanie w nim, Zbawcy, pokłada!
Przychodzi cię razem pozdrowić gromada,
Że Bóg się zmiłował i oko miał na cię,
Gdy szczęściem ogromnem zaświecił w twej cha-
[cie,
Byś poznał: nie zginie, kto z Bogiem poczyna, -
To rzekłem, a teraz-że pokaż nam syna,

Bo witać go chcemy, gdy wraca życzliwy,
A takoż z za morza usłyszeć te dziwy
O ludziach i wierze... — Więc Maciej wraz [blady:
— Gdzie syna? jakiego? A na to z gromady:
— „A nie durz, a nie zwódź, bo próżna rachuba,
Gdy przywiózł go wczoraj z kolei sam Kuba —
Ot, Kuba“...
Jak bywa, gdy padnie grom, zgłuszy,
Tak Maciej stał całkiem bez mowy, bez duszy,
Czas jakiś nie widząc śród mroków i mgławic.
A potem jak tysiąc niebieskich błyskawic,
Gdy ślepiąc wzrok ludzki, raptownie wyskoczy,
Tak prawda mu straszna powstanie przed oczy.
Więc jako zwierz dziki, raniony najsrożej,
Z okrzykiem okropnym ramiona otworzy,
I naprzód się rzuci, przez ciżbę zdumioną
Przeciska się — biegnie — w rozpaczy rwie łono,
Do szopy przypadnie i chwilę zabawi —
I trupa wywłóczy i z trupem się zjawi,
Ze sinym, okropnym! — Struchlała gromada.
On na śnieg z nim razem przed tłumem upada,
I głosem od ryku straszniejszym zawodzi:
— O! syn mój!... to syn mój!... najmilszy dobro- [dziej,
— O! mój ty robaku! o mój ty sokole!...
— O, Jezu mój, Jezu! na takąż ci dolę?...
A potem do ludzi wzrok wzniesie zbłąkany:
— O! bierzcie mnie w dyby! O! bierzcie w kajdany!

Bom oto czerwieńszy od zbójcy Kaina:
Nie brata, nie brata zabiłem, lecz syna!!
Dla grosza zabiłem, dla marnej mamony,
Nie wiedząc, że śpi tam — och, och — mój ro-
[dzony!...
I znowu upada i znów w niebogłosy
Zawodzi, za głowę się chwyta, rwie włosy,
I jęczy i szlocha, i z trupem się pora,
I łzami go zmywa... Nie rychła pokora!
Gromada skupiona, milcząca, ponura,
Tak stała czas jakiś posępnie, jak chmura,
Ważąca ze zgrozą okropne te dzieje,
Od których włos wstaje i serce truchleje...
A potem odeszła nie raźna, zdrętwiała, —
Jagusia w kąciku najgorzczej płakała.
Tak przeszedł dzień krwawy na ziemi; w Nie-
[biosach
Bóg ciężko o ludzkich zadumał się losach.

X.

I przyszli strażnicy, w kajdany go skuli,
I syna żegnając, zapłakał najczulej, —
I pójdzie przed sądy, gdzie miarą przykładną —
To wedle praw ludzkich — wyroki zapadną.
I pewno mu hańba, Sybirska — hen — droga!...
Lecz jeszcze nad sercem zostanie sąd Boga.

Za Bożą pomocą i w łaski przypływie,
Spisałem, jak było, rzetelnie, prawdziwie,
Spisałem to, ludzie, nie tylko dla ucha,
Lecz razem dla serca waszego i ducha!
Abyście poznali, abyście przejrzeli,
Jak krwawe się motki wysnują z kądzieli,
Jak krwawe wywiązać się mogą przypadki,
Gdy dziecko odjeżdża od ziemi — od matki
I ojca w nieszczęścia pogrąża toń czarną,
Ztąd rzeczy się w losach najstraszniej wygarną;
Abyście za prawdą, co serca utrwala,
Poznali, że szczęście człowieka — nie zdala,
Lecz ono tu — razem, lecz ono tu — blizko,
Gdzie swojska zagroda, rodzinne ognisko,
Gdzie z Boga powzięcie i Miłość, i Cnota,
Na małem przestanie i zbożna Prostota,
Bo tego ni żywioł, ni wróg nie rozchwieje;
Abyście w Nim jednym składając nadzieję,
Tam — gdzieście zrodzeni, na roli tej rdzawej,
Gdzie kości ojcowskie, gdzie ludzki pot krwawy,
Gdzie Bóg wasz i Wiara — siłami wszystkiemi —
I duszą, i ciałem przylgnęli do ziemi!

ADAM.

EGZEGEZA POETYCKA.

Po owym strasznym i grzmiącym wyroku,
Gdy Anioł mściwy w ognistym obłoku
Spłynął, płomiennym błyskający mieczem
I precz wyżenił z rajskiego ogrodu,
Na pastwę trudu, i chłodu, i głodu,
I tego, co jest przekleństwem człowieczem:
Szedł Adam z Ewą, wziąwszy się za ręce,
Niemi, samotni, błędni — potępieńce...

⁂

Bezludna była, pusta okolica, —
Jakże odmienna od rajskiej doliny!
Oko się wdzięcznem kwieciem nie zachwyca,
Zamiast kobierców — obszar twardej gliny,
Pod stopy głazy ostre, ścierniowiska,
Droga nieznana, nie lekka, nie blizka —
I wszystko inne — i nie malownicze:
Boga w tem czułeś zgniewane oblicze.

⁂

Dzień zwolna padał. Słońce purpurowe
Chyliło do snu rozmarzoną głowę,
Promienne, duże — z rzewnością na twarzy:
Jak ci szczęśliwi, spokojni i błodzy,
Którym się pięknie dzień cały przemarzy,
Bowiem cel wzniosły trzymali na wodzy,
Bowiem na chwilę z drogi nie zboczyli, —
Więc też odpocząć im będzie najmilej...
A zachód płynął złotolśniącą rzeką —
I oto byli od raju daleko.

⁂

Adam szedł mroczny, do głębi dotknięty;
W piersi niósł pychę, złość głuchą i męty —
I knuł wyraźnie przeciw woli bożej:
Jak ci niesforni, co do buntu skorzy,
Lecz czują razem, że na całej ziemi
Nie masz, kto szedłby i złączył się z niemi...
Więc bardziej chmurni na skutek odkrycia,
Bardziej czujący przeciwieństwo życia —
I sami z sobą w niezgodzie i kłótni,
Bezsilni, cierpcy, zdeptani i smutni.

⁂

Tak glebę myśli wzruszając jałową,
Szedł i nie patrzał — z pochyloną głową.

⁂

Adamie! w doli posępnej i kruczej
Nie jedno ciebie pokory nauczy...

⁂

Ewa znów bardziej jego smutkiem smutna,
W myślach mniej chmurna, sercem—nie okrutna,
Jaśniała wdziękiem dorodnego kłosa,
O! ta zalotna i ta złotowłosa!
Której gdy oczy po tobie rozbłysły,
To przy bezbronnej mogłeś stracić zmysły...
O! taka lekka, o! taka stateczna!
Na poły święta, na poły wszeteczna!
Co jej!... gdy przecie do szczęścia zostanie
Miłość, nad wszystko droższa posiadanie, —
Miłość w ciekawym i nowym obrzędzie,
Która jej życie nić za nicią sprzędzie
W złoto i w ognie, w tęcze, chryzopazy,
W omdlenia rajskie i w słodkie ekstazy...
Co jej!... gdy przy niej dzielne męzkie ramię!...
Cóż ją przerazi, zastraszy lub złamie?...
Trud, niewygoda?... O tem nie pamięta,
Kiedy w uścisku nad raj wniebowzięta.

⁂

Więc, jako łania, gdy zafrasowana,
Rzucała w stronę swego władcy, pana,
Z oczu—przez długich rzęs ciemnych pochyłość,
Rzewność i prośbę — i ogień, i miłość...

⁂

Ewo! miłości w nadziemskim błękicie
Nauczy ciebie — pierwsze twoje dziecię...

⁂

Wreszcie im nogi ustały w omdleniu;
Więc na przydrożnym siadł Adam kamieniu
I wbrew, czy z wolą serca, słów szelestem
Tak począł pierwszy: — „Cóż bo winien jestem?...
Cóż winien jestem, jeżeli On, który
Stworzył tę ziemię i lądy, i góry,
I światło dzienne, rozjąwszy je z mrokiem,
I słońce, złotym zdążające stokiem,
W które on jeden niezmrużonem okiem
Patrzy, a gwiazdy srebrne pali nocą —
I krople w morzu sprzysiężył głębokiem,
I wszystko objął niezmierzoną mocą,
I wszystko trzyma w Miłości niezmiernej:
Jeżeli tedy On, Wszechmiłosierny,
Z tak dziwną racyą, z tak dziwną rachubą
Stworzył mi ciebie, ciebie, moja zgubo!..:
Wiedząc zarazem, — bo głębie tajnika
Zna, zanim człowiek marzeniem przenika
I zanim zamiar w iskierce wykrzesze: —
Więc naprzód wiedząc, żem słaby i zgrzeszę.
Pocóż więc tedy ku mojej pokusie
Stwarzał, gdy wiedział odwiecznie, że tu się
Stanie rzecz pewna, konieczna najściślej,
Bo rządem Jego wykreślona myśli.!.

Po co więc, pytam, własną zwichnął pracę?
Po co raj stwarzał, gdy wiedział, że stracę?...
A jeśli była wola piękna, szczera:
Gdy dał i wiedział, po co dziś odbiera?
Bóg że On Celu, Miłości i Serca,
Czy tylko pewny wygranej probierca?...
Dał mi stworzoną ku zmysłów ponęcie,
Tak piękną, świeżą, jasną niepojęcie —
I wiedział z góry, jakie będą skutki —
I że nie wytrwa, chyba okres krótki,
Kto ma co chwila pokusę zuchwałą...
Zresztą ja nie wiem, jak się wszystko stało:
On musi wiedzieć niemylnie, jak sądzę,
Co dał mi ciebie i tchnął we mnie żądze...
Jedno wiem tylko, gdy myślą zawinę
W przeszłość uroczną, jak w senną krainę,
Że słodką była wszystka przepaść grzechu...
Tu spojrzał na nią, a ona w uśmiechu
Stała bezbronna, rajska, czekająca
I promienniejsza w noc od gwiazd tysiąca,
Najmilszy owoc z Edeńskiego drzewa,
Rozkosz i zguba — raj i piekło — Ewa!
Więc się przybliżył i objął ramieniem;
A jak za rózgi czarownej dotknieniem,
Z ciała tej rajskiej spłynął w jego żyły
Ogień gorący, rozkoszny i miły —
I tak przeniknął mile wszystkie członki
Od tej kochanej i od tej małżonki —
I taką falą uderzył do głowy,

I taki licom dał odblask ogniowy,
Że już nie wiedział, co mówi i czyni,
Cały stopiony w tej dziewce-władczyni!
A żądzy dzikiej rozgrzany odwagą,
Ręką w pół objął kibić wdzięczną, nagą,
Drugą wyciągnął widnie w stronę raju,
Jak ci, co grozić mają we zwyczaju,
I z ust mu biegła w szalonym rozgwarze
Mowa, podobna czarnoskrzydłej chmarze:
— „O! niech tu przyjdzie ten Bóg Wszechpo-
[tężny,
Niechaj mi jawi swój zastęp orężny!
O! niech tu przyjdzie, niech ciebie odbierze!...
Ale nie przyznam, ale nie uwierzę,
Że on tam Bogiem — na rajskim kobiercu —
I stokroć zwalczę, nim wydam ze splotów,
Bo oto czuję taką wszechmoc w sercu,
Iżem o władzę wszystką walczyć gotów
Z Nim, z Bogiem!“...
Grom gdzieś zahuczał w oddali,
Lecz — chwilo głucha! — na grom nie zważali;
Bowiem i Ewa w zaślepieniu błogiem
Stwierdzała, szepcąc: — Tyś, tyś moim Bogiem!...

⁂

. . . . . .
Tymczasem owo słońce na zachodzie,
Które w tak pięknej spłynęło pogodzie

I blaski złote siało po przydrożu,
Zastało obłok przyczajony w łożu,
Który - iż nie mógł jasności znieść dłużej —
Zbiegł skrajem nieba, zaprzysięzca burzy...
Bo oto pędząc w zazdrości i pysze,
Chmurne po szlakach budził towarzysze —
I gęsto zbite pozmawiał ku wojnie
Przeciwko słońcu, co spało dostojnie...
Więc tłumnie wyszły, zataczając działa,
Obległy nieba pół, — ciemność zgęstniała.

⁂

Z trwogą jaskółka tknęła ziemi ścigła,
I wszystko zmilkło — i cisza zastygła...

⁂

I było dziwnie głucho, przeraźliwie —
W czekaniu owem i w trwogi przepływie.

⁂

Błysło... raz, drugi — i grom wypadł bliżej, —
A wkrótce potem, jak wysłaniec chyży,
Kiedy przed wojska całego obliczem
Przemknie z rozkazem wodza tajemniczym,
A waga chwili mu widna u czoła:
Tak wiatr się zerwał, zataczając koła,
I pędząc zrazu szaloną wichurą,
Malał, aż zginął za daleką chmurą.

⁂

Cisza — znów błysło — ale już tą razą
Przerznęło niebo błyskawiczną skazą,
A jako pada dźwięk zgodnie z wyrazem,
Tak grom i piorun uderzyli razem.
Jeszcze nie zdołał przebrzmieć w dźwięku całym,
A już go drugi poprzedził wystrzałem.
Trzeci i czwarty... błyskiem złotej kosy
Z trzaskiem na poły rozszczepił niebiosy, —
Ale nie rozbił, choć zarys błysł szramy:
Lekko się w mknieniu spoiły odłamy...
Znów błysło niebo ruchomym wyłomem —
I znowu głuszej grom zlewa się z gromem,
I znowu z trzaskiem błyszczący wypada,
Tak szła, wciąż rażąc gromami, zagłada.

⁂

Wicher się zerwał... Zrazu w trwogi dreszczu
Rozpędzał skrzydłem pierwsze krople deszczu:
Wiedział, że zanim otworzą krynice
Deszcze, potrzeba zwalczyć nawałnicę, —
Więc siekł i miotał, przeciwił się lotem,
I mieszał krople — i zwalczał trzepotem....
Ale nie zdołał, — deszcz pobił mu skrzydło
I lunął strugą, spłukując straszydło...
Padł, lecz się zerwał, — sto innych przybywa,
Plączą strumienie, jak motki przędziwa,
Prą razem, falę gną, grożą rozbiciem...
Nie zmogły — w niebo uleciały z wyciem, —

Zwą gromy, — spadły, ostatni bój wiodą...
Drą falę w strzępy, piorunami bodą,
Szaleją, wyją, splątują i rwą się,
Niebo i ziemia łączy się w chaosie
W piekielną grozę jednego tworzydła...
Aż deszcz zwyciężył: otworzył stawidła
I z góry upadł wody całą rzeką:
Pioruny zgasił — grom odniósł daleko...

⁂

Sam nie ustawał...

⁂

. . . . . .

Śród pustej przestrzeni
Adam i Ewa, drżący, przerażeni,
I jak bezwładni i jak oniemiali,
Na ziemię padłszy, z bojaźnią zostali...
I wtedy oto pośród łkań i tłumień
Pierwszy popłynął z oczu Ewy strumień...

U ŚWITU.

Z dziennika młodej mężatki.

Poniedziałek. (*Na letniem mieszkaniu*).

Dziś odjechał mężuś zrana,
A ja — żona zaniedbana,
Tu rzucona w leśną głuszę,
Cały tydzień czekać muszę...
Sama jedna... Las dokoła...
Cóż mnie tu rozerwać zdoła?...
Siedzę sobie na werendzie...
Chyba chmurki gonić w pędzie..
Sosny pachną... Trudna rada!
To — dla zdrowia! (mąż powiada).
Bez mężusia, bez gagatka,
Istna panna — choć mężatka,
Żyję tutaj nakształt dziczek,
Pisząc z nudów ten dzienniczek.

Wtorek.

To zabawna krotochwila!
Dziś włożyłam negliż lilas...

(Śliczny!... mężuś mnie w nim równa —
E! zkąd znowu ja królówna!?...)
Na werendzie w cichym brzęku
Muszek siedzę z książką w ręku...
Wtem — od lasu idzie drogą,
Prawą, lewą, prawą nogą —
Rycerz! Pewnie — ale nie to,
Gdyż on musi być poetą:
Bo włos długi (blond), a oko
Duże — z tęsknej mgły powłoką...
Przytem taki smutny, blady,
Jakby w zaświat szedł na zwiady
I gwiaździste deptał ślady...
Proszę!... raz, i drugi, trzeci
Przeszedł — śmieszni ci poeci!...
Patrzył ciągle w moję stronę,
Na mnie! mego męża żonę!!
Coż on sobie myśli dudek?
Czy dla niego ten ogródek?...
Zapatrzona w czarne prążki,
Nie podniosłam oczu z książki,
Tylko — tak... ukradkiem... trochę...
Jakież ze mnie dziecko płoche!...
Lecz w tem przecie niema zdrady...
Zkąd on taki smutny, blady!...
Z smutków się nie naigrawam,
Lecz on — dudek. Ot, ciekawam...

Środa.

Z ciekawością wielką w walce,
Dziś złożyłam — o, tak! palce...
Niby czytam... przez te szparki
Dojrzy wszystko wzrok figlarki...
Szedł od lasu zatopiony
Lunatycznie w książki strony,
W drugiej ręce trzymał kwiatki...
Hm! doprawdy!... bardzo gładki!
Ale taki dziwny, rzadki,
Promienisty, jak duch jaki,
Gdy ma w tęskne lecieć szlaki...
Przytem blady — niech Bóg broni!...
Wszystkie żyłki znać na skroni...
Przy werendzie znów przezroczy
Z książki podniósł na mnie oczy,
Oczy takie smutne, duże,
Czyste, jak to niebo w górze —
I tak patrzył smutnie, długo,
Z takiem niebem i przysługą,
Tak błękitem błogosławił,
Że aż serce mi załzawił...
Potem odszedł — biały, cichy,
Jak lilijne te kielichy...
Nie! doprawdy!... ważąc ściślej,
Cóż on sobie o mnie myśli?...
Niech no tylko tu na straże
Mężuś zjedzie, wtedy w parze
Jegomości się ukażę!

Czwartek.

Żeby mężuś mój przyjechał,
Toby smutek mnie zaniechał...
Bo mnie dziwno, dziwno samej —
I choć niemasz na mnie plamy,
Jakaś tęskna, srebrna, biała
Mgła mą duszę oplątała...
A w tej mgle te smutne oczy
I ten błękit ich proroczy —
I ten uśmiech —
To tak było:
Zaczytałam się, aż miło...
Wtem — jak władzą potajemną...
Drgnęłam — Boże! on — przedemną!
Stał tak cichy i świetlany,
Jak kłos w polu zapomniany,
Gdy w jesiennym słońcu błyska
Sam jedniutki — pośród rżyska...
Lub jak srebrne we mgle świty...
A oczyma siał błękity
Z jaśnią czystą i gołębią —
Smutne — duchów smutną głębią...
I tak patrzył na mnie chwilę,
Aż mnie rozwiał w srebrnym pyle,
Duszę moją — życie wtóre,
Ni to ptasze srebrnopióre,
Biorąc w zaświat, biorąc w górę,
Gdzie ta wielka jasność mnoga:

Do aniołów i do Boga...
Aż od blasków tych otoczy
W łzach musiałam zmrużyć oczy...
Potem jako słońca szczera
Jasność, kiedy mgły przeziera:
Taki uśmiech przez mgławicę
Opromienił jego lice...
Uśmiech taki dobry, rzewny,
Cichy, słodki, smutny, wiewny,
Jak uwity z mgły przeznaczeń,
Z błogosławieństw i przebaczeń,
I z milczącej, cichej wszystkiej
Wiedzy, która jak kwiat listki,
Tak strząsnęła ziemskie żądze:
Że ja mniemam — że ja sądzę,
Tym uśmiechem jaśnieć zdolne
Tylko duchy jasne, wolne,
Lub aniołów rzesza godna,
Która byty widzi do dna...

Pod uroków dziwną siłą
Stałam — serce mocno biło
I ku twarzy biegł rumieniec...
Ale byłam ni-to jeniec...
I tak parę chwil duchowa
Trwała jasna bez słów mowa...
A wtem rzucił ku mnie kwiatki...
Wtedy drgnęłam... Z czarów siatki
Wyzwolona — pełna boju,

Wbiegłam szybko do pokoju...
Łzy się rwały z serca tkanki...
Przystanęłam u firanki:
Już nie było go. Bez znaku
Znikł, w powietrznym spłynął szlaku,
Że aż wzniosłam w górę oczy:
Może tam go serce zoczy...
Zatem wyszłam — i te świadki
Nieruchome — wzięłam kwiatki...
Jeszcze ciepłe, ciepłe były,
Ciepłem dłoni miękkiej, miłej,
Myśli, które je pieściły...
Ale więdły — w sile młodej,
Więc wstawiłam je do wody...

Oto wszystko — w dnia tym wianku.
Tak, mężusiu, tak kochanku!
Twoja żona nie jest płocha,
Ale kwiatki — kwiatki kocha...
Gdy przyjedziesz, na ramieniu
Twojem wsparta, w zamarzeniu
Będę snuła — rzadko — czasem —
Nitkę złotą z życia pasem —
A ty chłodem mnie bez winy
Nie odtrącisz, mój jedyny!
Nie wyśmiejesz żonki-dziecka,
Kiedy inak — nie ze świecka
O mgły srebrne się zahaczę...
I nie powiesz, że próżniacze...

. . . . . .

Boże!... czemuż bo ja płaczę?...

Piątek — rano.

Nie był jeszcze... Z wczoraj chwila
Złotem dziś mi dzień umila...
Więc od świtu — więc od rana
Dusza w świetle wykąpana...
Tylko kwiatki mrą i więdną...
O! ja byłam nieoględną!...
Bo — istotnie — to herezye...
Czytam cały dzień poezye.
Jest mi dziwnie szczęśnie, błogo,
Jakbym miała zbawić kogo...
W sercu grają rzewne tony,
Jakby w nowonarodzonej,
Że się pragnie w śnieniu takiem
Zostać ptakiem, ptakiem, ptakiem...
Tak! mężusiu! Twoja żona
Dobra, cicha, zasklepiona...
Winna-ż bardzo, że swe dziatki.
Kocha blaski, kocha kwiatki?...
Chce być sama z chwilki mknieniem
Ptakiem, kwiatkiem lub promieniem...
. . . . . .
Czy mi tylko czarów siłą
To się wszystko nie przyśniło?...
. . . . . .

Piątek — wieczorem.

Nie był — wcale. Właśnie lepiej...
Już mi życia nie odsklepi...
Nie naruszy przędzy szarej
Pospolitej — dni do miary...
Wracam po tym złudnym wątku
Do powagi i porządku,
Jak chce mężuś, jak chce życie...
Że tam łza mi spadnie skrycie...
Mężuś twierdzi, że z miliona
Chyba-m najmniej doświadczona:
Że te wszystkie słodkie mary
I poezye — przesąd stary,
Z światem złud powinowactwo —
To — rozwiązłość i próżniactwo...
I dowodził zrozumiale:
— Duchy?... Duchów niema wcale!
Która z nas się nie pozbywa
Głupstw tych — z głupstwa nieszczę-
[śliwa!
Racyę miał mój mężuś cenny:
Ten wczorajszy gość promienny
Pewnie próżniak — lub ladaco,
Co się nie chce zająć, pracą,
Tylko z kąta chodzi w kątek,
By psuć ludziom trzeźwym wątek,
Motać próżny głupstw powijak...
Może nawet jaki pijak!...

Mężuś mówił: wszyscy tacy!
Marzyciele — to pijacy!
A ja, dziecko — ja, mój Boże!
Uwierzyłam w jakieś zorze!...
Kiedyż z tego się wyleczę.
Na mężusia zdając pieczę?...
Spać się kładę, pełna chłodu,
Nie z nieszczęścia, nie z zawodu,
Lecz, że żyjąc tak oddawna,
Jestem ciągle niepoprawna..,
Biedna, biedna ze mnie trusia!...
Ha!... dobranoc — dla mężusia.
. . . . . .
. . . . . .
Czuję, jak mi treścią białą
Coś się z piersi oderwało...
. . . . . .
Noc z bezładnych mgieł osnową —
Lepszą życia snów połową...
. . . . . .
Jutro włożę suknię nową.
. . . . . .

Sobota — rano.

...Boże! Boże! ja niegodna!
Ja niewdzięczna! zła! wyrodna!
Ja bluźniłam — ja — nieszczera!...
A on — Boże!... on... umiera...
On odchodzi z tego świata...
Powiedziała mi Agata...

Mieszka obok — tu... Suchoty...
Mój gość Boży! promień złoty!...
Sam, sam jeden — bez opieki...
Śnić podąża, śnić na wieki...
Życia struty złą gościną....
O!... tak... niechaj łzy me płyną...
Niechaj płyną teraz długo —
Aż do niego jasną smugą...
. . . . . .
Mężu! wracaj! o, dla Boga!
Wracaj! każda chwila droga...
Wracaj... ja ci, niezaradne
Dziecię, mężu... do nóg padnę,
Ja przebłagam, ja uproszę...
Na me serce nie macosze —
Ty pozwolisz — i Ty! Boże!...
Ja tam pójdę — nad to łoże,
Ja opieką go otoczę,
Ja mu ulgi dam przezrocze...
Ja przed śmiercią — przed pogonią
Schronię go troskliwą dłonią,
Tak jak matki dzieci chronią...
. . . . . .
Czekaj! czekaj! mój... poeto...
Czekaj wszystkich sił podnietą,
Czekaj chwilki każdej zjawem...
Ja tam przyjdę niezabawem,
Przyjdę z sercem czystem, prawem,
Przyjdę z wiarą i z pokorą,

I z nadzieją, i z podporą,
I z modlitwą, i z otuchą,
I bez łez tych — z twarzą suchą...
Kwiatków świeżych ci przyniosę,
Ustom żyzną podam rosę.
Pod cierpienia — pod brzemiona —
Moje skrzydła i ramiona...

Jeśli Boga mocno, łzawie
Prosząc, życia ci nie zbawię,
Och!... przynajmniej je osłodzę
Ku wieczności smutnej drodze,
Łez mych pijąc kielich spełna...
...„Zdrowaś Marya! łaskiś pełna...“
. . . . . .

Nad Świdrem.

A D A.

I.

Poemat? — Nie poemat. Opowieść? — I to nie—
Cóż więc znowu? — Pozwólcie, przezacni słu-
[chacze,
Iż tym razem, jak rybak, kiedy w morza tonie
Rzuca wędę przygodną na szczęście rybacze,
Haczyk myśli mej ostrej niedbale uronię
W powódź rymów, — a może też o co zaha-
[czę —
I za sprawą tej, która w onych łowach wspiera,
Wyciągnę na brzeg żabkę jaką — bohatera.

II.

Dzisiaj bowiem śmiesznością nawet myśleć o tem
By do pieśni natchnionej znaleźć temat godny,
By rozbujać się wielkim — jak to mówią — lo-
[tem
I ukazać w rozblaskach kwiat ducha dorodny...
Świat ten cały panamskim obryzgany błotem,
A poezya, natchnienie — produkt niedochodny,—
Więc wyprzęgam pegaza, niechaj koń srokaty
Służy: jaka publiczność, takie poematy.

III.

Wierzę nadto zupełnie, że gdybym w te serye
Pieśni, które rokrocznie półki księgarń chłoną,
Gdybym włożyć mógł w każdą... bitet na lo-
[teryę,
Wraz z innymi poczytność miałbym zapewnio-
ną —
I wnetbym przez kuryery i przez reporteryę
Był wliczony w to „naszych“, „sławnych“, „wiel-
[kich“ grono —
I kto wie! gdyby szczęście strzeliło mi z łuku:
Nieśmiertelność bym zyskał — na warszawskim
[bruku.

IV.

Nie wypada jednakże, bym nie miał osnowy
Do rzeczy, którą kreślę, — oto słabe brzaski:
Bohater będzie człowiek — bardzo honorowy,
Człowiek gładki, wypadków przebieg nieco pła-
[ski,
Że będzie miłość w toku — pewna bez omowy,
Lecz — jej moment końcowy: psychicznej nie-
[snaski, —
Oto nawet nazwiska, którym dusza rada,
Mam gotowe: on Hektor będzie, ona — Ada.

V.

Hektor, przyznać musicie, brzmi dystyngowanie
I całkiem homerycznie (miałem psa Hektora),
W takim więc charakterze tutaj pozostanie
(Gentleman'a z dystynkcyą, nie zaś psa potwo-
[ra...) —
I będzie miał u ludzi wielkie poważanie,
Jako człowiek, co takt ma i inne decora, —
Lat 40, katolik, nie Chińczyk, nie Turek:
Bakobrody, bez plamki zarzutu — tużurek.

VI.

W umysłowość Hektora nie wglądam, — to
[zbytnie, —
Bo ona glebą tylko, rolą w życia akcie...
A moralność, przez którą gleba myśli kwitnie?...
Ach! mój Boże! wszak tylko com wspomniał
[o takcie:
On wszelką wybujałość tak — jak szpaler przy-
[tnie,
I jak w parku angielskim po ubitym trakcie
On nauczy cię wynijść przyzwoicie, gładko,
Tak — jak wyszedł z amorów mój Hektor z mę-
[żatką.

VII.

Bowiem była mężatką Ada. Lat trzydzieści
Upadło na tę głowę piękną, jak z marmuru...
I była, jak ta, której życie nie upieści, —
Gorzej nawet: jak lutnia wytrącona z chóru, —
Bowiem czuła z dniem każdym, jak przepada [gdzieści
Ta nadzieja na szczęście, wyśniona z lazuru...
Lecz — kochała Hektora, — wobec tego faktu
Daję, jako mężatce, świadectwo — nietaktu.

VIII.

Ba! mąż właśnie!... Lecz, drodzy, nie jedna się [sparzy
I w bóstwie swem nazajutrz odnajdzie bałwana, —
Więc jedna q u a s i-godność postawi na stra- [ży
I na żywot swój nocny będzie klęła zrana,
Ta znowu, która szuka i tęskni, i marzy,
Będzie szukać i pragnąć, jak kania zbłąkana,
Aż odnajdzie drugiego bałwana — kochanka:
Tak się życia układa zdawien dawna tkanka.

IX.

Ada swego Hektora tak, jak zbawczej deski —
Raczej własnej miłości, własnego promienia —
Chwyciła się w przededniu owej smutnej kreski,

Która młodość kobiecą w stos gruzów zamienia,
I w mosty popalone, i w dym czczy niebieski,
Po za którą nic nie ma — nic, nawet wspomnie-
[nia...
Że zaś była w tych rzeczach wielką fatalistką,
Oddała Hektorowi serce, głowę, — wszystko.

X.

I była dla niej miłość ta manną i rosą,
I celem, i wytrwaniem, — gdyż dzieci nie miała;
A dzieci, kiedy z mężem sprawa pójdzie koso,
To jedyna ucieczka i tarcz życia biała:
Qne troskę matczyną w uśmiechach rozniosą
I nad skrajem wstrzymają matkę-sowizdrzała...
Ale Ada — nie miała, ztąd życia reflektor:
Nuda — gorycz — pokusa — skrupuł — wal-
[ka — Hektor!

XI.

Niech na mnie moralistów ostrze się wytęża
Za to, że z pod ich młyna mętną wodę mącę,
Lecz ja w takich wypadkach winię tylko męża-
Za to, że z niego źródła nie biją żyźniące,
Za to, że anielskiego nie pomny oręża,
Że nie wie, co są ducha miodowe miesiące,
Za to wreszcie, że przywykł miarą nieudolną
Sądzić: co jemu wolno, to żonie — nie wolno.

XII.

Znałem różne kobiety i — jak mi cześć droga!
Każda, nawet najgorsza, zawsze czegoś warta —
I każdą byś potrafił do aniołów proga
Dowieść, gdzieby z białości wnętrznej nieodarta,
Jako lilia ci była — przeczyście-chędoga,
Jako piękna Bożego najwidomsza karta:
Gdybyś — gdybyś na czele wszystkiego zdo-
[bycia
Inną — nie tę postawił: ciemną gwiazdę życia...

XIII.

Ale Hektor poetą nie był — za to ręczę —
I poezyę odpędzał tam, gdzie dyabłów trzysta,
Nie owijał swej psychy w bawełnę i w tęcze,
Lecz tak, jak był — prawdziwy utylitarysta —
Grunt rzeczy, nie zasady motylo-młodzieńcze
Wyznawał: gdzie się daje, kiep — kto nie ko-
[rzysta.
Że z tem zdołał przywiązać do się piękną Adę:
To między serc niewieścich tajemnice kładę.

XIV.

Może to lat trzydziestu wina bohaterki,
Może to ta ułuda niewieścia, przemocna,

Która w sercu tęskniącem i pełnem rozterki
Tak uczynnie rozplenna, tak błogo owocna...
Która blaski z drobniutkiej roznieci iskierki
I różanie rozświetli rzeczywistość do cna,
I uwierzy nareszcie za obłędnem kołem,
Że byle Hektor dla niej — jest życia aniołem.

XV.

Dosyć na tem, że Adzie z tą rajską ułudą
Było w życiu promienniej, i widniej, i święciej,
Niż memu Hektorowi — z przesytem i nudą,
Którą jedną dla Ady przechował w pamięci
I w sercu, już oddawna ściętem twardą grudą,—
Z wyrokiem, złowróżącym czarnością pieczęci...
Zatem pełen o sobie samolubnej pieczy,
Miał ten wyrok wykonać. Lecz przejdźmy do
[rzeczy.

XVI.

Był mrok miły w pokoju. Ada do zwierciadła
Podeszła, postać bacznym ogarnęła wzrokiem,
Uśmiechnęła się rada, potem z wdziękiem siadła,
Potem wstała i pokój wymierzała krokiem,
Przed zegarem stanęła, śledząc ruch wahadła,
Potem znowu usiadła i za tęsknym mrokiem
Jęła myślą żeglować w napowietrznej łodzi,
Lecz ocknęła się, szepcąc: — czemuż nie przy-
[chodzi?...

XVII.

Potem się zadumała znowu — że źle czyni,
Że — czyniła dotychczas, z zakazanej czary
Pijąc zawsze kryjomo, jak winowajczyni...
I przed duszę spłynęły nieprzyjemne mary...
No — bo jakże?... przysięgła — tam — dawno — [w świątyni,
Dzisiaj w gnieździe swem — męża nadużywa [wiary...
(Tego męża, by tutaj nie bruździł nam sprawy,
Wyślemy na dni kilka koleją z Warszawy).

XVIII.

Potem ją ogarnęła niezmierna tęsknota
Wszystkiego, co jest dobre i piękne bez skazy,
Co z człowieczej godności blaski swoje mota,
Co silniejsze nad lotnie wysnute obrazy,
Bo w oczy śmiele patrzy, bowiem za nią — [cnota,
Bowiem w Bogu i w ludziach nie budzi odrazy...
Lecz się prędko ocknęła, westchnęła omdlale
I szepnęła boleśnie: — czy nie przyjdzie wcale?...

XIX.

A i w tem się myliła, — gdyż Hektor był bliz- [ko —
I ulicą się zbliżał, choć całkiem bez skrzydeł...

Raz jeszcze bacznie wejrzał w swej duszy sie-
[dlisko,
Oczyścił ją z sumienia pokątnych mamideł,
Potem wszystko świadomą podcyfrował kréską
I rzekł: — sentymentalnych mam dość tych pa-
[chnideł!
Dziś to skończyć należy... Ta nudna balada —
Kością w gardle... Za dzwonek szarpnął. Drgnę-
[ła Ada.

XX.

— Ach! nareszcie!... przychodzisz, niedobry He-
[ktorze!...
Zapominasz mnie całkiem — opuszczasz mnie
[biedną...
A ja czekam tu, roję, sercem, głową ło-
[żę —
I myśli mi już gasną, i nadzieje bledną...
— Mille pardon!... zatrzymano mnie dłużej
[na torze,
Ujeżdżano klacz młodą, lecz — ma wadę jedną...
Tu ją witał — i, marna ty osłodo losów! —
Tknął w przelocie ustami pachnących jej wło-
[sów.

XXI.

— Lecz tu ciemno w pokoju. Dla czegó-ż, mon
[amie,
Nie kazałaś zapalić światła o tej porze?...

— Sądziłam, że tak wolisz, gdy jesteśmy sami...
Wszakże nieraz... Wszak dawniej lubiłeś, He-
[ktorze,
Szarą duchów godzinę, co tak tęsknie mami...
— O! tak, tak!... szarych duchów... być może,
[być może...
Ale znowu — przepraszam — nigdy tak baje-
[cznie
W ciemnościach: entre chât et chien...
[Enfin, ostatecznie...

XXII.

Usiadł nieco poodal. A ona z kozetki,
Jak dziecko, kształtną brodę oparłszy na dłonie,
Patrzyła nań z tym wdziękiem służebnej kokie-
[tki,
Który niosąc ofiarę, sam na stosie płonie...
Do niego — do tej drogiej siedzącej sylwetki
Rwąc się duszą, spojrzeniem po przez mroku to-
[nie —
Załączając w promieniach i prośbę, i żałość,
I poddańczość uroczą, i rzewną nieśmiałość...

XXIII.

A on siedział, jak ten, co inne całkiem waży,
I czeka, aby wszystko wyłuszczyć, jak z kłosa—
I czeka, zanim chwila się rącza nadarzy —

Czasem wejrzał za myślą na Adę z ukosa, —
Ale czując jej ciągły wzrok na swojej twarzy,
Z finezyą niezrównaną wyjął papierosa,
Zapalił, i — prawdziwy salonów dygnitarz --
— Permettez vous?... zapytał. Ada: —
[po co pytasz?...

XXIV.

I znów cisza zaległa — i szara godzina
Płynęła, jak duch wielki, w pamiątki wdumany...
I księżyc, jak w romansie blada heroina,
Przez okiennych szyb lustra przeniknął w te
[ściany...
A wiedząc, że go Ada najczulej wspomina,
W ramach złożył u nóg jej srebrzyste dywany...
I była chwila, w której mogą ludzie biali,
Jako duchy, się bratać i płynąć na fali...

XXV.

Miłości! gdzie jest twoje anielskie przymierze?...
Gdzie są pióra twe śnieżne, twe blaski cherubie?...
Gdzie natchnienia przejasne, wonie zawsze świe-
[że?...
Gdzie harmonie, w odwiecznym pożenione ślubie?...
Gdzie twoje poświęcenia w bezkrwawej ofierze,
I przewody, chodzące w wiecznie młodej chlu-
[bie?...

Miłości! tyś jest harfą wielką w Bożym ręku!
Miłości! w ludziach ciebie znam — z pustego
[dźwięku...

XXVI.

Tu — na ziemi — śród twoich arcytworów mro-
[wią,
Twoje szaty kapłańskie, srebrzyste ornaty —
Służą, jako posłanie miękkie do wezgłowia,
Na którem się bezczeszczą plugawe twe — ka-
[ty, —
A gdy im łuną piekieł twarz się rozróżowia,
Mienią rajem wcielonym — zbłocone twe kwiaty,
Mienią świętem natchnienia i szczytem włada-
[nia...
Miłości, jakże-ś pełna katów urągania!...

XXVII.

W tym tłumie, który ciebie nęka i poniża
I ciebie od jasności królewskiej odsądza —
I jak tłuszcza zajadła i w pościgu chyża,
Tym twoim majestatem, jak szmatą, rozrządza,
I co dnia ducha twego przybija do krzyża:
Znam ja ciebie, miłości jedyna, — tyś żądza!
Tyś żądza! która wiecznie ziemię z niebem kłóci
Pochodnią dymnie krwawą zapalonych chuci.

XXVIII.

Tyle chyba twej krasy na tym Bożym świecie,
I tyle anielskości i jasnego ducha,
Ile — w listków różanych nieświadomym kwie-
[cie,
Ile — w ptaku, gdy czule za miłością grucha,
Ile — w pieśni serdecznej i sztuki powiecie,
Gdy się twórczo z ziemskiego odrywa łańcucha...
Ach — i nie wiem... gdzieś chyba w powietrz-
[nej przestrzeni,
Gdzie się duchów ojczyzna beznamiętna pleni...

XXIX.

Ale wróćmy do naszej bohaterskiej pary,
Którą-śmy zostawili sam na sam — śród du-
[chów —
Przy księżycu, w dioramie romantyki starej,
W warunkach najzdradniejszych — na pastwie
[podmuchów...
Bo nuż jeszcze mój Hektor zadrgnie na te
[czary
I nuż się w nim obudzi coś — nakształt od-
[ruchów
Wartko-krewkich, — a wtedy — prawdziwy bo-
[hater! —
Gotów z siebie wyrzucić — cóż by, jak nie:
[krater.

XXX.

Ot — chociażby tak sobie — bez upoważnie-
[nia,
Bez iluzyj, bez dymów wstępnych trybularza...
Pod wpływem tej doraźnej ciszy, tego cienia...
Ot, w roli przygodnego zdobywcy-mocarza...
W owianiu, które nagle chwyta, opłomienia,
I jak w chorobę Wita, nagle przeobraża...
Nuż — powiadam — mój Hektor w to stadyum
[jaskrawe
Wpadnie i ostatecznie zbruka mi oktawę...

XXXI.

O! i było by pewnie, gdyby — gdyby Ada
Była bardziej odporna, bardziej — satanella...
Lecz — gotowość, ofiarność? jakiż nęt posiada
Dla takiego wytrawnej krwi przedstawiciela?...
Gdyby coś tak, co nowość jaką zapowiada,
Co zaostrza oskomą, dreszczami się wciela, —
Ale — Ada?... Na wylot znana — słodko-tkliwa...
Właśnie w chwili tej ciszę tym jękiem przerywa:

XXXII.

— Ach! niedobry Hektorze!... Siadłeś tak zdaleka—
Zimny jesteś, nieczuły — i nie mówisz wcale...

I czas nam najpiękniejszy bezpłodnie ucieka —
I nie kochasz mnie pewno — ostygłeś w zapale...
A mnie serce niełaska twa w kiry obleka
I tak srodze dotkliwa... Lecz próżno się żalę...
Ach! i w tej niepewności, zanim znów rozbły-
[śniesz,
Prawie spytać się pragnę: czy mnie nie uści-
[śniesz?...

XXXIII.

Na to Hektor: — O!... owszem... cóż znowu...
[ma chérie!...
Ale — właśnie dziś chciałem — przyszedłem
[dziś po to,
By pomówić otwarcie i nie bez kozery
To, co trzeba, graniczną — rzekłbym — przeciąć notą...
Vous savez, jak przystało ludziom naszej
[sfery,
Ktorzy słusznie się cieszą opinii pozłotą...
Otóż — właśnie pozwolisz, że z taktem prze-
[łożę —
Ada trwogą przejęta: — co powiesz, Hektorze?...

XXXIV.

— Tylko proszę cię, duszko! bądź wyrozumiałą...
No! i nie dramatyzuj tak wielce tej sprawy...

Cóż robić?... co się stanie — trzeba, by się stało:
Que voulez vous?... Konieczność — żela-
[zne ustawy...
Tout passe, mon cher ange!... więc też
[lepiej z chwałą
Zapobiedz, niźli czekać, aż dzień niełaskawy
Nastąpi i fatalnie to dzisiaj przemoże...
Ada bardziej strwożona — : — przerażasz, He-
[ktorze!...

XXXV.

— Uważasz, moja droga!... cały ten stosunek,
Te schadzki, te... schowanka — to ryzyka same...
Mąż pod bokiem... mąż czuwa... ten ciągły ra-
[chunek...
Cela ne fait pas honneur — i... można
[wpaść w jamę —
To... dość zgubne — i — słowem: jedyny ra-
[tunek —
Ostatecznie tym rzeczom położyć raz tamę, —
Wreszcie tego, co było, starłszy wszystkie ślady:
Que voules vous?... do cnoty powrócić —
[z zasady.

XXXVI.

— Nie powiem, żebym nad tem sam nie bolał
[srodze,
Żebym tego nie wiedział — albo nie czuł raczej, —

Lecz — co robić?... rozsądek każe skrócić wo-
[dze...
Konieczność, moja droga!... nie można inaczej, —
Więc choć z żalem niejako, na wszystko się
[godzę —
I oto — nie w daremność dziecięcej rozpaczy,
Ale serca zakuwszy w obowiązku zbroję:
Rozstaniemy się dzisiaj — jak przyjaciół dwoje.

XXXVII.

Skończył. Ada słuchała, — lecz nie wiem, zaiste,
Czy pojęła dokładnie — tak jakby wypadło, —
W myślach jeno zarysy pozostały mgliste,
W sercu jakieś ciemniejsze przemknęło widzia-
[dło...
Lecz że miała to serce z natury dość czyste,
Przeto wszystkiej ohydy naraz nie odgadło...
Uczuło tylko zamęt i niejasną trwogę
I dokoła ciemności, — wyjścia jednę drogę.

XXXVIII.

Więc też lepszej otusze i gwieździe nadziei
Poruczywszy nad myślą niespokojną pieczę,
Jęła zwolna za światłem z tej urocznej kniei
Wychodzić i — o, głupstwo wierutne człowie-
[cze!...

Kto ciebie na ułudy drodze wykolei?... —
Po chwili tak zdrętwiała do Hektora rzecze:
— To wszystko, coś powiedział, Hektorze, nie [baśnie —
I masz racyę, masz... Hektor przywtórzył: a wła- [śnie!

XXXIX.

— Boć ja sama, gdy jedna ze sobą zostaję
I błąkam się w samotnym mej duszy kościele,
Cierpię, cierpię, smagana przez złych duchów [zgraję,
Przez wyrzuty sumienia — dotkliwie i wiele...
Ach! za to, że zdeptałam małżeńskie zwyczaje,
Że na Boga wznieść oczu już się nie ośmielę,
Za te kłamstwa przed mężem, wybiegi... To plami,
Plami bardzo... Tu Hektor: a widzisz, mon amie!

XL.

— Czyż nie lepiej otwarcie i jak ludzie szczerzy!...
I z tym Bogiem — z tym Bogiem jawnie, śmia- [ło, wszędy!...
Zerwać przeszłe — i wynijść z tych błotnych [wybrzeży,
Odkupić i naprawić dawne życia błędy...
— C'est ça!... jaknajkonieczniej! Należy, na- [leży —

Przytwierdził znowu Hektor, jak prawdziwy [dandy.
— Więc też, drogi Hektorze! ja — z tego po- [wodu...
Ja dla ciebie to zrobię: pójdę... do rozwodu...

XLI.

— Jamais!!! Hektor wykrzyknął i porwał się [żywo,
Jak gdyby tysiąc żądeł tknęło go boleśnie:
— Jamais! przenigdy w świecie — z tą pre- [rogatywą!
I niech ci się nie marzy o niej nawet we śnie!
Mais c'est affreux... słyszane rzeczy! roz- [wód! dziwo!
Może sądzisz, że życie dla ciebie zacieśnię?...
— Jakto?... przecie — Hektorze — oddałam ci [wszystko!
— Mogłaś była pozostać, gdy chciałaś — pu- [rystką.

XLII.

— Ty?? ty do mnie tak mówisz?... za miłości [tyle?
Za moje poświęcenia, za moje nadzieje?...
— Ależ, droga! zastanów się, proszę, na chwilę!

Chcesz, by ludzie stworzyli z tego epopeję?
Mais c'est fort imprudent — to — to
[mrzonki motyle...
To się nigdy w podobnych wypadkach nie dzie-
[je —
Nie jestem przecie Zulus żaden ani wandal...
Ale — rozwód! Kto słyszał! Zastanów się:
[skandal!

XLIII.

— O tem mowa zbyteczna—to rzecz bezcelowa,
To rzecz zgoła... i żeby choć jaką zasadę!...
Ale — daruj mi, droga... zbyt długa rozmowa...
A tu — spieszno mi bardzo... mam w klubie na-
[radę...
Więc — zatem — wszak rozstajem się zgodnie?...
[Bądź zdrowa!...
Nie jak wrogi... ja — jutro na dłużej wyjadę,
By — zapomnieć... Bądź zdrowa!... pozwól —
[raz ostatni
Pocałunek na czole złożę całkiem bratni...

XLIV.

Ada się osunęła prawie instynktownie,
Bowiem była w tej chwili całkiem, jak w omro-
[ku —

W głowie, w skroniach uczuła rozpalone gło-
[wnie,
Myśl się chwiała, walczyła z przepaścią na sto-
[ku...
Wreszcie wszystko w bezkształtną zapadło wi-
[downię —
Kiedy Hektor odchodził, nie słyszała kroku...
Tylko twarzą upadła w kanapki zakątek
I została. Nie budźmy: to życia początek.

XLV.

A Hektor szedł ulicą, trochę podniecony
I tak monologował na myśli swych sejmie:
— Ależ baba!... Voyez vous! zaszła mnie
[z tej strony,—
Lecz — nareszcie skończone, na zawsze w ro-
[zejmie...
Trochę — nie tak, jak każą najlepsze kanony,
A jednakże — co chcecie? — z taktem i uprzej-
[mie...
Wszystkiego-m nie przewidział: o, to najniemi-
[lej!...
Ciekawy jednak jestem, jak tam z nią w tej
[chwili.

XLVI.

Nieszczególnie, Hektorze! bo oto w rozłące,
Gdyś ty wyszedł z tą władną godnością szafarzy,

Wkrótce z oczu jej gorzkie, rzęsiste, palące,
Łzy stokrotne, łzy wstydu pobiegły po twarzy...
A były—jak gdy pożar w dzień skwarny na łące
Wszystkie kwiaty za tchnieniem i niszczy i warzy...
I tak wielką, gorącą ociekając smugą,
Na tem miejscu została długo, długo, długo...

XLVII.

A była ta łza każda boląca — nie wielka,
I z serca wypadała, jak droga pamiątka,
I z serca odrywała się każda kropelka,
Jako perła z drogiego życia marzeń wątka...
A gdzie pracę kończyła boleść-niszczycielka,
Tam się zjawiał dotkliwy wstyd, jak nowa [prządka —
I tak dusza płynęła przez czyszczącą próbę,
Gubiąc życia ułudę — jaśniejąc przez zgubę.

XLVIII.

Tak przetrwała do świtu. Już rannie szarzało, —
Mrok nocny ustępował, zwijając namioty, —
I duch jakiś przybyły walczył bronią białą,
Pełen ciszy wymownej, milczącej prostoty...
A gdy jaśnie ukończył walkę krótkotrwałą,
Miecz ukazał — w promieniu odrzucił miecz zło- [ty, —
I naraz taką władzą dotknięte uroczą,
Jęły ptaki za oknem szczebiotać ochoczo.

XLIX.

Wtedy się poruszyła, — przeszła do zwierciadła
I przejrzała się w światła rannego przezroczy,—
I ujrzała, jak bardzo tej nocy pobladła,
Jak bardzo podkolone — jak krwawe jej oczy,—
Jak wielce jest potężna władza bólu-radła,
Który w jednę noc—mocen w licach ślady tłoczy...
Zatem w piersi stłumiając łkań wylew echowy,
Krokiem mocno podciętym przeszła do alkowy!

L.

Tu stanęła nad łożem białem i nietkniętem, —
Chwilę stała, żałością wielką obłąkana,
I patrzyła na obraz z wizerunkiem świętym,
Który wisiał na ścianie, jak tarcz niezachwiana..
Jakby ważąc — nie śmiejąc za duszy odmętem...
Wreszcie z lepszą otuchą ugięła kolana,
I z wysługą, z natchnieniem, z lepszą cząstką [ludzi
Tak została modląca...
Niech promień ją budzi!

M A S K A.

Intermezzo sceniczne.

„Co umiera w świecie zdarzeń,
Żyje pieśnią w świecie marzeń".
Goethe.

Juliusz, poeta — lat 28.
Maska.

Gabinet wielkoświatowej restauracyi, — gustowne meble, pianino, lampa duża z różową zasłoną. Wchodzą poprzedzeni przez starego służącego.

Juliusz.

Jesteśmy więc zdala od zgiełku i wrzawy;
Jak w cichej przystani — po trudach przeprawy...
Tu miła niech kwieciem się splata intryga,
Nie tam, gdzie tysiące tak pustych głupstw ści-
[ga...
Na sali, gdzie tyle i osób, i stanów —
Na morzu, gdzie tyle przepływa bałwanów...
Cudownie! pomiędzy czterema ścianami —

Zaklęci i cisi — szczęśliwi, bo sami...
A!... nawet pianino!... to istna wygrana...
Czyż można chcieć więcej?... Hej, garson, szam-
[pana!...
Nie odmów mi, pani! szlachetny to trunek...
I wierzyć chciej, proszę, w mój szczery szacunek.

(*zdejmując z niej okrycie*)
Tak! teraz okrycie... Niech żyje ułuda,
Gdy chwilkę czarowną z niej wysnuć się uda!...
Za chwilą podążać w świat pieśni, w świat cza-
[rów,
Jedyny poetów to kaprys i narów...
A chwilki te drogie, — a cała intryga —
Ot — puszek: odleci — zostanie łodyga —
I świat ten się wyda i nędznie, i płasko, —
Ztąd suma: to szczęściem, co właśnie pod ma-
[ską.

Maska.

Więc wiedzieć doprawdy nie pragniesz, kim je-
[stem?...

Juliusz.
(*nieco patetycznie, jak z roli*).

Ty jesteś aniołem, co skrzydeł szelestem...

(*swobodnie*)
Nie, pani! doprawdy — Ha! chyba twa wola...

Maska (*żywo*).

Bynajmniej! O! za nic! tak pusta swawola...

Juliusz.

O! nie mów tak, pani! Kto uciekł od rzeszy,
Choć rzesza potępia, ten z dwojga mniej grzeszy...
A chwila ta, którą zerwiemy tu razem,
Niech piękna jedynie rozbłyśnie obrazem, —
Niech dusza, zostając w tym blasku i pięknie,
Najżywszym powabem natchnienia oddźwięknie:
To — chociaż pod maską — nie wielki grzech [będzie...

Maska.

Lecz w jakich mnie istot postawisz pan rzędzie?...

Juliusz.

W najlepszych!... w serafów, świecących łaska- [wie,
Do których się modlę i w snach błogosławię...
Bez żartu — i szczerze, nieznana mi pani!
Mam czucie poety, z słonecznej coś dani,
Ot — instynkt przez skórę, coś — niby zmysł [szósty,
Co łatwo odróżni kłos pełny, kłos pusty...
Od pierwszych słów twoich to we mnie wciąż [rosło,

Że duszę przed sobą mam piękną — mam wznio-
[słą, —
Szlachetną i dobrą, tak miękką i czułą,
Jak gdyby z niej samo anielstwo się snuło...
Ach! duszę, jak tęczę, co wszystkie uroki
Słoneczne zebrała w wędrówce wysokiej...
I duszę, jak lilie, jak tkliwe powoje,
Rosami srebrzone, — jak światło, jak zdroje, —
I duszę — jak harfę, co tkliwe zarzewie
Z strun wszystkich obudzi przy lada powiewie,
I wszystko zaklęcie na blaskach i tęczy —
Promienna — wzruszona — wydzwoni, wydźwię-
[czy...
(Bo różne — i w różnej czułości napiętej
Są dusze, jak różne do gry instrumenty...
Nie jedna, jak w trąbę, skręcona — nieluba—
Dąć trzeba, nim w dźwiękach rozsnuje się zgru-
[ba).
Gdy dodam nazewnątrz do tego obrazka
Jedynie to, czego zazdrosna ta maska
Zagarnąć nie mogła: ten cały stos włosów
Ze złota i miedzi — najdroższy ze stosów, —
Podbródek i szyję tak świetnej białości,
Że... reszta zakryta napewno zazdrości,
I kibić, co tak się najkształtniej wyłania,
Że... całkiem mi do niej już brak porównania:
Tak godnej, szlachetnej zjawisko mam damy,
Jak gdyby z Tycyana zstąpiła tu ramy...

Choć — bardziej duchowej, — słowiańską zaletą
Przejaśnie świecącej...

Maska.

Pochlebiasz — poeto!
Więc — przyjaźń?...

Juliusz.

Stateczna!... bez maski!

Maska.

O! za nic!...

Juliusz.

Na sercu!...

Maska.

W tym względzie — rzetelnie — bez granic.
...Na długo?...

Juliusz.

Na wieczność calutką w tej chwilce,
Mieniącej się złotem...

Maska.

...Jak motyl na szpilce!...

Juliusz.

A!... veto!... Któż piękno torturą zasila?...
Instancyę zanoszę: uwolnij motyla.

Maska.

A jeśli złocisty odfrunie, odleci?...

Juliusz.

Podążym na łąkę zieloną, jak dzieci,
I serca w dwóch kwiatów zamienim wiązanie:
Nasz motyl się zwabi — i z nami zostanie.
Jedyny to, wierzaj, dla skrzydeł hamulec...

Maska.

Ha! widzę tym razem, że muszę ci uledz.
(*służący wniósł wino*)

Juliusz (*wznosząc kielich.*)

Za zdrowie przyjaźni! za piękna ogniwo!...
W doczesnej wędrówce bądź, masko, szczęśliwą!
(*pije*)
Ach! gdybym miał szczęście — to w marzeń błękicie,

Uczyniłbym zapis na całe twe życie —
Ze wszystką dla siebie dziedzictwa niełaską:
Tak czuję, tak pragnę, choć nie znam cię,
[masko!

Maska.

Szczególny pan jesteś, — swawolny i — hojny!

Juliusz.

Nie!... tylko... szczęśliwy — i pełen tak rojnej
Otuchy, swobodny i śniący na kwiatach,
Jak gdyby w dzieciństwa pierwszego mych la-
[tach...
Gdy wszystko w uśmiechach najsłodszych się
[śniło,
Świat — bajką był prostą, nie matnią zawiłą...
O!... potem... dzieciństwa sny-chwile mkną rą-
[cze —
I życie wciąż bardziej się plącze, — jak plącze!...
Bo nie myśl że przecie, bym trzpiotem był, ma-
[sko!
Zna dobrze się serce to moje z niesnaską,
I nieraz się rysy wykrzywią goryczą...
To — chwila, a bóle na lata się liczą...
Z serdecznych gdzieś ognisk upadnie iskierka:
To cała pociecha, a z resztą — rozterka...
Ty nie znasz się na tem w prostocie gołębiej:
To — sztuka, kochanie, tak boli i gnębi —

I wieczna tęsknota, płacone krwią plony...
O! każdy z nas nieba wyrobnik zgnębiony!

Maska.

Masz sławę, ta szczęścia zastąpi ci blaski!

Juliusz (*wesoło*).

A otóż to macie! jak mylą się maski!
Toć właśnie, gdy w sztuki już zajdzie się knieję,
Ta sława przychodzi — i wcale nie grzeje,
Bo dusza tak kornie w wieczystej harmonii
Utonie, że niczem jej poklask czczy dłoni, —
Bo w sercu tęsknota tak władnie zagości,
Że wszystko się widzi pod kątem wieczności...
I wzniesie się człowiek — i całkiem przerośnie
Co szczęściem tu zowią, co nęci rozgłośnie...
Aż w końcu cierpienie nałogiem się staje —
I wieczność pociągnie — — Lecz o czem ja [baję?...
Na jakąż w twych oczach zasłużę podziękę?...
Urywam... Pij masko!...
(*spostrzega rękę i lekko ujmuje*)
Jak śliczną masz rękę!...
I drobną, i miękką, i kształtną, i białą,
I taką mistyczną, jak... kwiaty — nie ciało:
Jak gdyby tu na niej o zmrokach na fali

Lecący anieli całunki składali:
Ztąd tyle namaszczeń i blasku, i smutku...
Siostrami rąk twoich są lilie w ogródku...
Tu znowu — na dłoni — o, biedny ty kwiatku!...

Maska.

Czy wróżysz?...

Juliusz.

Tak! — z serca — w niejednym wypadku...
...Dłoń miękka i czuła — taż życia ponęta?...
Calutka liniami okrutnie pocięta —
Jak srodze... O, biedna!... i jakież tu dzieje!...
To wszystko, co życiem tak strasznie zachwieje,
Co serce przeniosło, choć usta milczały,
Duch — życia dziejopis zapisał wytrwały.
Musiałaś przejść wiele — i nie był los miękki:
Choć nie znam się na tem, lecz czuję to z rę-
[ki...
Wiesz, masko! że... całkiem podobna do mo-
[jej...
Nie do tej!... do innej — co nieraz mnie koi...
Najdroższa — choć zimna — — pamiątka z mar-
[muru —
Na biurku mem — bardzo podobna z konturu...
Ach! ręka ta — skarby, klejnoty najrzadsze...

Czuwając w noc późną, jak w tęczę, w nią pa-
[trzę, —
Z niej czerpię otuchę, w wytrwałość się zbroję,
Z niej biją promienie — — w niej wszystko,
[co moje!
I nieraz gdy życia ogarnie chęć pusta,
Do ręki przyciskam spragnione me usta,
Lub w strasznej rozterce — i w jęku, i w trwo-
[dze —
Na zimnej powierzchni to czoło ochłodzę...
Gdy coś mam przedsięwziąć, z nią pierw się na-
[radzę,
A zawsze opatrzna!... ja wierzę w jej władzę...
Toż stała się dla mnie na seryo prawdziwem
Mysteryum żyjącem, tajemnem ogniwem...
A! trudno!.... coś przecie ukochać potrzeba...

Maska.

Więc ręka nieznanej?... czy spadła ci z nieba?...

Juliusz.

Zkąd znowu!... kochanej — lecz dawno — przed
[laty...
Przed laty dziesięciu, gdy śniły się kwiaty,
Gdy serce w młodości promieniach i w wiośnie,

Jak dzwonek na jutrznię, dźwięczało radośnie...
Gdy w piersi pod pierwszej miłości wezwanie
I święcie — i błogo — i złotoróżanie
Od szczęścia — od zorzy — od tęczy stokro-
[tnej —
Uśmiechów — radości — — A!... sen niepowro-
[tny!...
Czy wiesz? nawet włosów podobne masz sploty...
Nie! tamtej w kolorze był bardziej blond-złoty—
(*pauza*)

Maska.

Umarła?...

Juliusz.

Bynajmniej! — lecz pełna zawzięcia,
Na przekór zrobiła i — wyszła za księcia!
Ot — dziewczę swawolne, choć całkiem nie chy-
[tre,
Koronę poezyi zmieniło na mitrę...

Maska.

A może też tamten był bardziej kochany...

Juliusz.

Przenigdy! Nie mogło być takiej zamiany!
To śmieszne! W uczuciach pierwszego kochania,
Gdy cała się dusza niewinna odsłania,
Jak wiosna z najpierwszym kwiatowym kobiercem:
Czy jest się kochanym, nie przejrzy kto sercem?
Tam niema intrygi, tam światła nie gasną,
Tam widzi się wszystko — i widzi się jasno...
Że byłem kochany, żem serce jej świeże
Bez działów posiadał: wierzyłem i wierzę!

Maska.

Dla czegoż się stało dla serc bezlitośnie?...

Juliusz.

Zapytaj się życia, co szczęście tka w krośnie!...
Zapytaj się chwili — wypadku, co złotą
Rwie nitkę na szlaku, nim barwy się splotą!...
Ot — fala, co niesie dwa kwiaty i pieści
I naraz je gubi — na morzu — bez wieści...
Ta sama, co łączy, odrazu przychyla
Dwa serca, czasami rozłącza je — chwila...
Jam dumny był, ona — zarówno królewska, —
Drobnostka — niesnaska śród śmiechów — rys—
[kreska —

Nikt pierwszy nie podjął naprawy tak lekkiej,
I zmilkły serdeczne szczebioty — na wieki!
I poszły dwa serca — na prawo — na lewo,
Niechęcią ustępstwa rozdarte — czczą plewą!
Choć srodze płakały, stanęły przy swojem,
Ach! jakże nieszczęsne tym własnym podbojem!
Ach, jakże się pojąc ranami zawzięcie
Za własnej miłości nic ważne draśnięcie!...
Tak bywa tu często — na ziemskiej nizinie
I kwiaty marnieją, — woń jedna nie ginie...

Maska.

Gdzież teraz przebywa?

Juliusz.

Daleko, daleko!
Jak w bajce: za setną i górą, i rzeką...
W snach moich, — a zresztą — książęcym zwy-
[czajem
Zerwała z tem miastem, z pamiątką i z krajem.
Nie badam — nie śledzę, gdzie — jaka jej ście-
[żka,
I to mi wystarcza, że w sercu mem mieszka.

Maska.

Lecz później kochałeś?...

Juliusz.

Zdawało się różnie, —
Z czar wielu się piło, by — wiecznie czuć pró-
[żnię, —
Bo jedna ta tylka z młodości ołtarza,
Pierwszego kochania — ta wiarę mi stwarza, —
Ta jedna została i święta, i wonna,
I czysta — i pełna — i mocna, zakonna!
Więc chociaż się dusza dotyka jej łzawie,
Czczę pamięć niezmiennie i czcząc, błogosławię...
Ją codzień, jak święte anielstwa przezrocze,
W modlitwach wieczornych marzeniem otoczę —
I w śmierci godzinę — w konaniu i w męce —
Jej życia ostatnią tęsknotę poświęcę!

Maska.

A imię szczęśliwej nad wyraz istoty?...

Juliusz.

Ach! imię to — dźwięki — najtkliwsze szcze-
[bioty —

Ach! jakże się snuły, jak srebrnie dźwięczały
W wymianie serc, w mowie pieszczonej, zdro-
[bniałej...
Czy w śmiechu — w zabawie, lub lice przy licu—
Szeptami — przysięgą — w altanie — w księ-
[życu...
— Aneto!... czy kochasz?... Aneto? czyś stała?
Czyś wierna? — do grobu!... Anetą się zwała...
Anetą, Anetą... I nieraz na fali
Przypływa mi imię to w echach z oddali
I żyje, uniósłszy trumniane swe wieko,
Jak gdyby — co zmarło, przestrzenią daleką,
A imię to było dalekiem wołaniem
I wiecznej miłości śród sfer nieskonaniem...
Aneta — Aneta —

(*spostrzegając się*).

Niedobra ty masko!
Związałaś mi chwilę żałobną przepaską,
Zatrułaś ochotę, zbudziłaś, co drzemie,
Podstępem ciekawie wydarłaś mi imię —
(*wstaje żywo, przechodząc koło pianina, uderza machinalnie kilka głośnych akordów*).
Cóż będzie?... Ot, chyba naprawisz muzyką,
Coś niechcąc zepsuła kobiecą praktyką...
Grasz pewno? zaręczę —

Maska.

Niezgorzej — potrosze—

Dla siebie najczęściej —

Juliusz.

Więc zagraj że, proszę!
Zbudź tonów geniusza, — za karę i w skrusze
Na skrzydła muzyki i moję weź duszę!
(*Maska gra smętny utwór w rodzaju nocturnów Szopena, Juliusz bardzo zdziwiony*).
A! ślicznie! cudownie! i wręcz niespodzianie!
Jak wielkie poczucie, jak świetne oddanie!
Nie sądziłbym nigdy, dłoń widząc tak małą,
By tyle się rzadkich z nią skarbów bratało.

Maska (*grając*).

Nie wiele mi w życiu zostało: muzyka!
Z nią dusza się moja najchętniej zamyka.

Juliusz.

Prześlicznie! i z serca płynące wprost tony,
W nich żywe nieszczęście i raj utracony —
I mądrość ta cicha, co życie przenika
I płacze nad sobą... Prawdziwa muzyka!
Przepraszam, że chęci ciekawej nie skryję,
Lecz dziwna, że nie znam autora — To czyje?

Maska (*grając*).

To moje.

Juliusz.

Co?!

Maska.

Tak jest! prawdziwie! o szarej
Godzinie tak klecę czasami...

Juliusz.

To czary!

Maska (*ciągle grając*).

Przy duchów pomocy coś niecoś rozbrzaśnie
I piosnka się złoży: to jedna z nich właśnie.

Juliusz.

Lecz jakaż w tem głębia — i jakie przestworze!
Uwierzyć mi trudno — Tak grać tylko może...

(*Maska zwolna przestaje*)

O! proszę! graj jeszcze! niech przejrzę to tętno,
Co życia uderza tęsknotą doszczętną,
Co szczęście do smutnej sprowadza kolei:
Ciągłego tułactwa, wieczystej nadziei
I wiary jedynej za złudnem tem kołem:
To — w nowe tułactwo — z nadziei mozołem...

(*Maska gra coraz obrazowiej, Juliusz coraz bardziej podniecony interpretuje*)

Jam życie! pieśń głosi: jam z nieba strącona,
By wiecznie ku niemu wyciągać ramiona,
Bym bólem drgające i wciąż niewolnicze
Ja — bóstwo — ku niemu zwracała oblicze, —
Bym czuła w łzach, które się perlą w mem oku
To słońce wieczyste w tęczowym uroku,
Co igra w mej męce i w barwy się stroi
W mej wiecznej tęsknocie i w każdej łzie mojej!
O! jakże to smutno żyć taką nadzieją,
Gdy wszystkie się blaski do życia rozchwieją,
Gdy szczęściem jedynem ma być spodziewanie:
Iż żadne się szczęście po za niem nie stanie!

(*prawie rozdrażniony*)

O! znam ja pieśń twoję! znam wielkie jej zna-
[mię —
I co ją tak mocno i kruszy, i łamie,
Znam siłę, co serca mierzące zbyt dumnie,
Na wieki przywala i chowa, jak w trumnie,
Gdzie ból je ogłusza i męka wypręża:
Znam—znam to nieszczęście kobiece! Masz męża!

(Maska drgnęła; gra jeszcze chwilę, potem bezwładnie opuszcza ręce, pozostaje czas jakiś, następnie powraca na dawne miejsce na kozetce i siedzi z opuszczoną głową. Przemowa Juliusza trwa podczas tych ruchów w jednej nieprzerwanej, wciąż bardziej podnieconej ciągłości).

Masz męża! masz brzemię — ciężącą zagładę
Tem straszniej, im bardziej mu serce nie rade,—
Masz jawę codzienną od powiek rozwarcia,
I obcość zupełną, i duszę bez wsparcia,
I niechęć tłumioną, co sobie cierń splata,
I maskę na licach — przez lata, przez lata!
Za chwilą—wbrew sercu—jak dziecko, szalona
Ten węzeł zaplotłaś, jak tamta, jak o n a!...
Nie wiedząc, nie licząc w szalonej pustocie,
Że życie dla męki ma z chwili chwil krocie,
Że z drogi zboczenie, gdzie serce najprawsze,
W nieszczęście wprowadza i w trwogę na za-
[wsze!
Wgłąb - dalej — i w życie, jak w knieję zło-
[wrogą,
Gdzie żadne promienie już dobiedz nie mogą,
Gdzie chwila w następnej, jak piekłem, się mno-
[ży,
Gdzie pamięć zbłąkana już siebie się trwoży, —
Gdzie gorsza od śmierci — do ciągłych przebu-
[dzeń

Nadzieja trwa wieczna — świadoma swych złu-
[dzeń!
Tak igra z uczuciem panieństwo figlarne —
I serca kwiat idzie na marne, na marne!
A chociaż błąd chwili strój życia narusza:
Nad miarę — nad winę trwa nieraz katusza.

(*po chwilce, nieco łagodniej*)

I jakąż ci życia mam podać otuchę,
Gdy serce na bratnie spółczucie nie głuche?
I jakiż natchnienia siew rzucić tej siły,
By ziarna się w serce niepłonnie wtuliły?...
Czy wskazać ci wielką ludzkości świątynię,
Gdzie żadna ofiara, ból żaden nie ginie,
Lecz jako cudowna przyszłości zasada,
Na szczęście powszechne do ziarna się składa?...
To — puste. Bo życie, choć mądrość przegląda,
Toż trochę dla siebie w doczesnem pożąda,
I dusza też bardziej ofierze przyjazna,
Gdy sama z niej szczęścia choć kilka chwil za-
[zna.
Czy — spokój za grobem i w niebie koronę?...
I ciszę za życiem — za życie zmącone?
Lecz serce—wiem!—walką targane i trwogą,
Pociechy tej jasnej nie ima się błogo —
I próżno się przeciw pokusie osłania,
Gdy niemasz do kropli krwi z życia poddania.
Więc — dolę przeklinać? — fatalność?—los dziki?
Bezmyślnej igraszki bezmyślne wyniki?

I zatruć się w sobie — i zakuć w niewiarę,
I szydzić — i serce, jak zimną poczwarę,
Z bluźnierstwem, z przekorą, co mrozi i studzi,
Obnosić po świecie, by straszyć nią ludzi?...
Nie widzieć, prócz mętów w dzieł Bożych przy-
[pływie,
Nieszczęście czy szczęście przyjmować zgryźliwie
I czekać, za życie jad tocząc w odwecie,
Nim koniec nadejdzie, zadępce, wymiecie:
Gdy życie w wyrokach szczęśliwszych zaniecha,
Taż mądrość ma zostać i życia pociecha?
(*po chwili — siadając obok i łagodnie ujmując dłoń, mówi bardzo serdecznie*)
Nie, dziecię!
Jest w życiu — jest z życiem związany,
Jak cisza, jak słodycz, jak balsam na rany,
Ja nie wiem — kto: anioł uczynny i biały,
Do życia ukojeń wiodący i chwały, —
Tak jasny, promienny, i czysty, i cichy,
Jak w lśnieniu ros lilij najczystszych kielichy...
Na serce dłoń kładzie dla bólów ujęcia,
Jak matka na czoło chorego dziecięcia, —
Rozterkę płaczącą i żałość sierocą
Prostuje — łagodną uśmierza je mocą —
I chociaż sam cierpi najbardziej przezroczy,
Tak tkliwie opatrzy, tak rzewnie otoczy,
Że wszystko, doczesnym palące żywiołem,
Przycichnie— i cierpi się w niebie — z aniołem...

Ja nie wiem, kto jest tym aniołem, zkąd władza
Ta prosta, co życie w nieszczęściu wygładza:
Czy jest nim człowieka z sfer lepszych odbicie?
Sumienie—anielstwo? lub samo to życie,
Z przeznaczeń nad ziemskim wznoszące się ku-
[rzem...
Powszechnie go ludzie aniołem zwą stróżem:
Bo czuwa, bo strzeże, bo ciągle osłania
Przed burzą, przed gromem, przed drogą zbłą-
[kania...
A gdy się go zaprze człek w życia pogoni,
On z cichych poświęceń anielskie łzy roni,
I bierze na siebie trud wszystkiej boleści,
I znowu powraca — i słodycz swą wieści...
Gdy wszyscy porzucą, on jeden zostanie,
A zawsze tak piękny, jak w życia zaranie...

Patrz w tego anioła! Na ból, co się lęże,
Od niego bierz jasne do walki oręże,
Budź jasność wciąż większą na chmurnem twem
[niebie,
Utrwalaj się z niego — poznawaj w nim siebie!
W nieszczęściu — w łzach — po przez palącą
[przesłonę
Obaczysz oblicze to w łzach spromienione,
Ze wzrokiem, w marzenie utkwionem podniebne,
Boleścią — poddaniem — tak godne, tak srebrne!
Nad wszystko, co tutaj ulega rozłące,
Niezłomność i trwałość ci lepszą wieszczące:

To — szczęście z twej własnej słonecznej istoty,
W promieniach błyszczące anielstwa i cnoty,
Dobroci, dla której się chwile pełniły,
Przykładu i życia godności i siły!

To jedno — nie zwodne! to jedno do nieba,
Przybliża tę ziemię, bo zresztą — żyć trzeba!
A gdy ci z natchnieniem tem łatwiej do mety,
Z niem błogosławieństwo przyjm razem poety,
Kwiat myśli i pragnień — łączności człowieczej,
Braterskiej, co duchów oddając cię pieczy,
Nic w zamian nie pragnie z łask, które los pleni,
Prócz szczęścia dla ciebie stokrotnych promieni...

Maska mimowolnie osuwa się na ramię Juliusza i zcicha płacze)

Ty płaczesz?... Tak gwiazdy się twoje zaćmiły,
Że nawet pociecha słów moich...?

Maska.

(odrywając z twarzy gwałtownym ruchem maskę)

Nad siły
Ta maska!...

Juliusz.

(chwilę patrzy nieruchomie, naraz z okrzykiem)

Czy marzę?... Aneta!!

Maska.

Ja, drogi!

Juliusz.

Aneta! marzenie wiośniane — śnie błogi!
Ty — sama? po latach — toż życia me wiano,
Bym widział łzy? ciebie, jak lilię, złamaną?

Maska.

Niestety!... po latach — tak życie odmienia!
Wiesz wszystko — wyrzekłeś, jak z jasnowi-
[dzenia...
Do tego świadectwa — na jedno mi: b i a d a!
Ot chyba łez kilka tych dodać wypada...
By ciebie zobaczyć, przybyłam zdaleka —
Marzyłam — pragnęłam, nim życie do wieka
Ostatni na głucho gwóźdź wbije... Wyrzuty,
Czy rozgłos twój — nie wiem — był dla mnie
[wyzutej
Ze szczęścia pobudką... Pragnęłam, jak słońca!
Lecz chciałam pod maską tą wytrwać do końca,
Nie zdradzić się... wrócić do taczki tułaczej —
I nic tu nie zmącić... Wypadło inaczej!
Nie mogłam... Za łaskę, za jasne promienie,
Co tu mi świeciły tak niezasłużenie,

Za dobroć, za piękno, za siejbę cnotliwą,
Za wszystko, co tutaj spłynęło, jak dziwo:
Czy zdołam?... to chyba... ty, z ludzi najrzadszy!
Niech Bóg ci zapłaci!... on w serce me patrzy!

Juliusz.

Jaż mam to — słuchając, sam boleć najsrożej?...

Maska.

O! niech ci marzenia stokrotnie przysporzy!...
Ja miałabym zostać na twoim błękicie
Tą chmurką, tą myślą, co mąci sen-życie?...
Odjadę... Jak słodycz kwiatową, jak rosę,
Twą pamięć na moje wygnanie poniosę...
Tam mi się czasami sen przyśni kwiatowy...
Nie będę tak biedną, jak sądzisz... Bądź zdrowy...

Juliusz.

Aneto! nie czujesz — co wskrzesło najżywiej?...
Aneto! możemy być razem szczęśliwi!...

Maska.

A!... czemuż to serce z radości nie skona!

(*płacze*)

Zapóźno, najmilszy... Intryga skończona...
I światła już gasną... Czekają okowy...
Ich brzęki sen płoszą... Już pora... Bądź zdrowy!

Juliusz.

Odjechać chcesz?... Sama?...—lecz przecie się do-
[wiem,
Gdzie szukać cię... Czyliż na wieki z pustko-
[wiem?...

Maska.

Nie sama!... z aniołem, co błyska najczyściej...
Gdzie szukać — nie pytaj... Tam sen się nie
[iści...
Przepadnę... a ślad mój — bez wieści... daleko...
Jak rzekłeś — za setną i górą i rzeką...
Jak w bajce... Tam dla nas epilog godowy...
Tu — ciernie...

(*stłumiając się*)

Ostatnie — bądź zdrowy... bądź zdrowy!

(*odchodzi — Juliusz pozostaje ze spuszczoną głową, po wyjściu — raz jeszcze z mocą, jak gdyby pragnąc zatrzymać:*)

Aneto!...
Zniknęła — czy śniłem?...

(*słychać turkot odjeżdżającego powozu*)

To ona...
Jak echo zbudzone...

(*siada z ciężką zadumą*)

„Intryga skończona!...“

(*po chwili*)

Ty, serce! milcz! nie wab blaskami rojnemi!
Nie stawaj tak hardo o dział swój na ziemi!
Niech całkiem się koło zdobyczne zacieśni!
Ty — karm się tęsknotą!
A szczęście?...
— Ha! w pieśni!

(*po chwili zrywając się z miejsca, całkiem zmieniony*).

Tak! przednio! wybornie!... i wszystko ze ścisłą
Harmonią raptownie, jak w niebie, rozbłysło...
Ta scena—i maska... Tak! „Maska“ w tytule...
To wszystko upieszczę... w najgładszy rym [wtulę —

(*dzwoni gwałtownie*)

Hej! garson!...
Jej lice... w łzach—jasne, świetlane...

(*służący wchodzi*)

Papieru i pióra! tu na noc zostanę —

(*służący odchodzi*)

...Przywołam i iskry na nowo rozetlę...
Jak była, w tem samem przedstawię rzecz świetle...
Do pracy!... Tęsknotę z poezyą ożenię —
I siebie zapomnę... Przybywaj natchnienie!

(*niedbale wsparty na pianinie, kreśli ołówkiem na nutach — notując myśli półgłosem*)

„Jesteśmy więc zdala od zgiełku i wrzawy,
Jak w cichej przystani“...

(*mówiąc*)

Początka — ruch żwawy,
Swawolny, jak słodkie gruchanie gołębi...
A potem się wszystko w liryzmie pogłębi... —

. . . . . .

„Od pierwszych słów twoich to we mnie wciąż rosło,
Że duszę przed sobą mam piękną, mam wznio-słą...
Szlachetną — i dobrą — tak miękką i czułą...
Jak gdyby z niej samo anielstwo się snuło“...

. . . . . .

„I duszę, jak harfę, co tkliwe zarzewie
Z strun wszystkich obudzi przy lada powiewie“...

. . . . . .

„Pij! masko!“...

(*mówiąc*)

A ona wciąż prawie milcząca —
Za maską tą czarną, jak światło miesiąca...

. . . . . .

„...Jak śliczną masz rękę... i drobną, i białą...
I taką mistyczną... jak kwiaty — nie ciało...
Jak gdyby tu na niej — o zmrokach na fali
Lecący anieli całunki składali...
Ztąd tyle namaszczeń i blasku i smutku...
Siostrami rąk twoich są lilie w ogródku“...

. . . . . .

„Zupełnie podobna... pamiątka... z marmuru“...

. . . . . .

„Anetą się zwała... marzenie... z lazuru
Mej wiosny... promienne... do dzisiaj przytomne“...

(*mówi*)

Melodyę tę smutną obudzę — przypomnę.

(*w przestrzeni unoszą się, jak echa, bardzo cicho dźwięczące* (*instrumenty rznięte*) *tony dawnej melodyi. Juliusz, coraz bardziej od świata rzeczywistego oddalony, szepce coraz ciszej*)

„...Śmiechami srebrnemi... lub lice przy licu...
Szeptami... przysięgą... w altanie — w księżycu...
Gdy serce — za żywą anielską podnietą
Blaskami zórz kwitło“...

(*szepce machinalnie*)

Aneto... Aneto...

(*tony coraz jaśniej się unoszą, zasłona zwolna spada*).

SIOSTRA ŁUCYA.

I.

Lat dziesięć starła ręka czasu
Z szeregu liczby mnogiej
Od chwili, kiedy po raz pierwszy
W klasztorne weszła progi.

Na skromną suknię zakonniczą
Zmieniła strój światowy,
Obcięła włosy, kornet biały
Ozdobą stał się głowy.

Nie dla niej gwar weselny świata,
Kwitnąca życia krasa:
Modlitwa dla niej, post, ubóstwo,
Paciorki, krzyż u pasa...

O, jakże sobie dobrowolnie
Związała życie sama!...
Tak — gdy na drodze rwącej rzeki
Nieczuła stanie tama, —

Lub na łodydze gdy złamany
Kwiat róży psotną dłonią:
Choć żyje jeszcze, już za życia
Śmiertelną dyszy wonią...

Co, jak, dlaczego? — stare dzieje, —
Historya, jakich wiele...
Dla jednych kwiaty los pod stopy,
Dla innych głogi ściele...

Są, którzy idą przez szlak życia
Z uśmiechem jasnym w twarzy —
I są, dla których jedna troska
Na zawsze szczęście zwarzy...

...Lat dziesięć temu miała wszystko:
Czar wiosny, wdzięk, urodę —
I duszę jasną, — w niej aniołów
Weselność i pogodę.

Jak duch nieziemski, kiedy wdzięki
W doczesną postać wciela:
Podobną była do tych świętych
Z obrazów Rafaela...

Z niebieskich dużych oczu spływał
Słodyczy zdrój niewieściej:
Jak lazur czyste, niezgłębione,
Mistycznej pełne treści.

Gdyś patrzył w oczy te, myślałeś
Ze smutkiem mimowoli:
Za wiele nieba w nich, — nagroda
Nie w ziemskiej dla niej doli...

Nie w ziemskiej była też, zaprawdę!...
W szesnastej wiośnie życia
Zawodów gorzkich czarę pełną
Los dał jej do wypicia...

Miłosna sprawa, jak świat stara...
A taka wiecznie nowa!...
A pod postacią słodkich czarów
Truciznę zawsze chowa...

Miłosna sprawa, jak świat stara...
Choć rajem nęci pięknie,
Nie jedno przez nią pękło serce,
Nie jedno jeszcze pęknie.

...On był poetą, jak mówiono,
Niezgorsze pisał wiersze —
I dla dziewczęcia miał z początku
Zapały jak najszczersze.

Lecz czy to zmienna kolej rzeczy
Zmiennego wciąż układu:
Po roku rzucił i zapomniał —
I przepadł, znikł — bez śladu.

Jak ten, co w miodzie upodobał
I piję go nad miarę:
Naraz zatoczy błędnym wzrokiem,
Rozbije wonną czarę...

Jak ten, co nie wie, jak to boli
W zawodach łza poczęta...
A!... Niech Bóg dobry mu przebaczy!
Niech Bóg mu nie pamięta!...

Z rozdartem sercem sama jedna,
Z boleści pełnem łonem,
Dzień-noc wzywała, krwawo płacząc
Za szczęściem utraconem...

Ach! ileż nocy tam bezsennych!
Palących łez, goryczy...
I jaki ból upokorzenia!
I jaki wstyd — dziewiczy!...

Lecz gdy ją pierwsza nie zgładziła
W czas burzy fala sroga,
Po skołataniu, jak rozbitek,
Zaniosła myśl — przed Boga.

Tak nad przepaścią i otchłanią,
Co grozi nieprzebyta,
Zbłąkany biedny w niebo patrzy,
O pomoc niebo pyta...

I oto dziesięć lat porwały
Życiowych fal potoki,
Od kiedy do klasztornej furty
Zaniosła błędne kroki.

I tam, gdzie grób znajdują ziemskie
Pragnienia i mamidła:
Klasztorna cisza rozpostarła
Szeroko nad nią skrzydła...

II.

W regule, jak to zwykle bywa...
Już w otoczeniu samem
Sióstr przykład, spokój—był cudownym
Dla duszy jej balsamem.

Modlitwa także cuda stwarza,
Czarowną mocą włada:
Pod jej wezwanie gołąb biały
Na serce chore spada...

I otulając je skrzydłami
Dopóty czule pieści,
Aż wreszcie nawet najzawziętsze
Ukoi się w boleści...

Tak ból się koił, wyraz błogi
Osiadał na jej czole,
A myśl już rzadziej się błąkała
Po ziemskich dróg padole.

A jeśli kiedy znów wybiegła
Tam — za klasztorne mury,
To jakby sama przelękniona,
Zrywała lot do góry.

I oto była już jej dusza,
Jak morska toń po burzy,
Gdy słońce w nią z za chmur ostatka
Świetlany krąg zanurzy:

Po wierzchu cisza — nieruchomość
Spokojnej wód opony,
A spodem — spodem — Ha! tam może
Drga żywioł przyczajony...

III.

Po roku niemej kontemplacyi
Chęć czynu w niej się budzi,
Bo razem chciała, służąc Bogu,
Z pożytkiem być dla ludzi...

Więc do szpitala, gdzie tak wiele
Uczynność znaczy dbała,
Jako szarytka miłosierna,
Do posług się wpisała.

I oto razem z jej przybyciem
Opatrzność — istna Boża:
Nie jeden na śmierć już skazany,
Powstaje zdrowy z łoża...

Gdzie wejdzie, dotknie, ślad zostawi
Opatrznej swojej ręki,
Tam zdrowie, spokój, tam ustają
Bolesne chorych jęki.

Gdzie spojrzy tylko, gdzie zasieje
Błękitu czar oczyma,
Tam błogość, szczęście... Lepszej siostry
Nad siostrę Łucyę niema!...

Lat dziesięć działa tu pod znakiem
Widocznej łaski Bożej, —
I zdrowi wielbią ją, jak świętą,
Zaś błogosławią chorzy.

Nie jeden chory, ozdrowiawszy,
Wziął na się trud pielgrzyma,
Obwieszcza światu: lepszej siostry
Nad siostrę Łucyę niema...

IV.

Tam gdzie choroba bezlitośnie
Gromadzi sute zbiory:
Czyż dziwo, jeśli do szpitala
Przybędzie nowy chory?

Dla czegoż ten, co dzisiaj przybył,
Zajęcie budzi wkoło?...
Ach! jakiż blask niepospolity
To piękne zdobi czoło!

W lektyce z miasta go przynieśli...
Zamknięte ma powieki, —
Gorączką dyszy, — w twarzy bladej
Gorące dwa wypieki.

Włos długi, kruczy, oczy wpadły
Przez siność podkoloną, —
Zamknięte, lecz pod niemi, czujesz,
Dwa węgle ogniem płoną...

W malignie ciągle; widno zamęt
Zbolałej cięży głowie,
Bo wraz mu słowa wybiegają
W bezzwięzłej, dziwnej mowie.

Do pustej celi przeniesiono
Bezwładne chore ciało
I u wezgłowia umieszczono
Tabliczkę czarną, małą.

A na niej kredą wypisane
Choroby określenie,
Widnieje więc: „Encehpalitis“
(Mózgowe zapalenie).

Nie było przytem siostry Łucyi,
Lecz praca na nią czeka,
Bo oto na noc wyznaczona
Nad chorym jej opieka.

V.

Był wieczór. Z chorych ci i owi
Snem słodkim już posnęli,
Gdy siostra Łucya niestrudzona
Do smutnej weszła celi.

Do łoża raźno się zbliżyła,
Czynności swych świadoma,
Spojrzała — zbladła, jak rażona —
Bezwładna, nieruchoma —

I tylko na pierś instynktownie
Poniosła ręce obie,
Cisnęła serce, jak w obawie,
Że pęknie w strasznej próbie.

— To on!... te rysy... Boże wielki!...
Ta cela... i to łoże...
Po latach tylu... tu — w tem miejscu...
O, Boże, Boże, Boże!...

VI.

Noc — późno — lampka nocna płonie
I cisza głucho dźwięczy...
Na łożu młodzian nieprzytomny,
U łoża Łucya klęczy...

Jak morska fala, gdy upada
Na skalny brzeg z rozpaczą:
Tak łzy jej z piersi napływają,
I oczy ciągle płaczą...

A jak zbłąkany ptak nad morzem,
Tęskniący do wybrzeży:
Tak z ust nawykłych do modlitwy
Gorąca prośba bieży:

— O, Ty, co Boską swą źrenicą
Do serc przenikasz wnętrza
I czytasz tajne ludzkie sprawy:
Maryjo Przenajświętsza!

Jak w czas okrutnej syna kaźni
Koiłaś własne bole,
Tak wejrzyj na mnie dziś łaskawie
I ukój moję dolę!...

Służyłam Tobie, Panno Święta,
Ufając jaknajszczerzej,
Że na doczesne, ziemskie wdzięki
To serce nie uderzy...

Tymczasem—dzisiaj—patrz! łzy płyną
I pęka twarda zbroja...
Maryjo, Panno Przenajświętsza!
Ach, stań się wola Twoja!...

Urazy dawnej, krzywdy ciężkiej
Me serce nie pamięta,
Przebacza, modli się i... Panno!
Bądź wola Twoja Święta!...

Tak biedna w uczuć sprzecznych walce
Szamoce się żałośnie,
A miłość wielka obudzona
Z godziną każdą rośnie...

Tak w czasie suszy niechaj w lesie
Maleńka iskra padnie:
Patrz! oto pożar, wichrem gnany,
Jak szerzy się wszechwładnie!

Więc z kolan wstaje i pieszczotą
Niewinnej czułej treści,
W oblicze drogie patrząc, sploty
I blade czoło pieści...

I razem myśl wybiega w przeszłość
Odległą i daleką,
I oto znowu w rozrzewnieniu
Łzy wielkie z oczu cieką...

Więc znowu pada na kolana,
Jak ścięty kłos śród pola,
I szepce, płacząc: — Panno Święta!
Ach, stań się Twoja wola!...

Już świt się wdzierał, na mszę ranną
Dzwoniono gdzieś w kościele,
Gdy siostra Łucya opuszczała
Złamanym krokiem celę.

VII.

Dwa dni mijało... Wreszcie kryzys
Nastąpić miał proroczy,
Bo oto pierwszy raz przytomnie
Otworzył chory oczy.

O! jakże chwili tej czekała,
Jak długo nieskończenie!...
Z radością jaką miała pierwsza
Powitać to spojrzenie!

O! życie!... Oto pierwszy promień
Na Łucyi posłał lice:
Drgnął, z łoża uniósł się i utkwił
Rozwarte w nią źrenice —

I długo patrzył nieruchomie,
Jak ten, co śni lub marzy...
Tymczasem zlekka cień złowieszczy
Przesuwał się po twarzy...

Aż nagle chwycił się za głowę,
Mgłą błędną zaszło oko —
I śmiechem dziwnym i bezdźwięcznym
Roześmiał się szeroko.

Oddała echem senna cisza
Zbudzona, potargana...
W przeczuciu strasznem siostra Łucya
Upadła na kolana...

. . . . . .

VIII.

Dziś on jest w domu obłąkanych,
Gdzie chorzy — bezkresowi...
I biegli twierdzą, że go żadna
Kuracya nie uzdrowi...

Ma jednę manię: wciąż wyrabia
Kornety papierowe, —
Gdy zrobi jeden, — kto pod ręką,
Nakłada mu na głowę —

I długo patrzy w twarz, szukając
Podobieństw w niej osnowy, —
A potem smutnie wstrząśnie głową
I — robi kornet nowy....

I oto żyje, falą gnany,
Jak krucha łódź bez steru —
I tylko wtedy w rozpacz wpada,
Gdy zbraknie mu — papieru.

IX.

A siostry Łucyi dalsze dzieje —
Tak, owak lub inaczej:
Czytelnik w duszy niech łaskawie
Doczytać sobie raczy.

ŚWIADOMOŚĆ-GRZECH.

(z cyklu „ROZDŹWIĘKI").

?

Zwolennicy bezwzględnych wcieleń ideału,
W krwawej z życiem rozterce podnoszą [trud młodzi;
Wiek późniejszy, z wielkiego ustępując [działu,
Na półśrodkach się wesprze — i jakoś po- [godzi...
Rzecz ciekawa: tak piękne życia doświad- [czenie —
Czy to mądrość prawdziwa, czy też — zni- [kczemnienie?

Przyszedł do mnie pod wieczór, o szarej godzinie,
Kiedym w ciszy samotnej, jak nurek w głębinie,
Wyławiał lepsze myśli i perły-nadzieje...
Rękę podał w milczeniu, — spojrzałem w twarz [bladą, —
Czułem, że jakiś dziwny, że czegoś się chwieje
I kryje burzę wielką pod sztywną ogładą.
Choć nie łączył nas węzeł przyjaźni zażyłej
I gościem nader rzadkim bywał w moim domu,
Lubiłem go, gdyż wiele cierpiał pokryjomu,
A i cele nas sztuki krewnymi czyniły...
Przeto rękę w serdecznej spółczucia zapłacie
Uścisnąwszy, spytałem: — czegoś smutny, bra- [cie?...
Machnął dłonią i milcząc, usiadł na uboczu
I długo patrzył w ziemię, nie podnosząc oczu.
Zda się, gwałtem tamował jakiś wybuch wielki:
Tak na chwilę przed przyjściem burzy-wichrzy- [cielki —
W bezruchu i skupieniu trwogi niewesołej
Wszystkie naraz się zetną boleśnie żywioły...
Bo choć zęby zaciskał, widziałeś z wejrzenia,

Jak mu łkania pierś wznoszą i rwą się we-
stchnienia.
Wstałem i pokój mierząc, jak to nieraz czynim,
Przez chwil parę chodziłem, wreszcie-m stanął
[przy nim —
I chcąc z duszy prawdziwie nieść ulgę w cier-
[pieniu,
Rękę zlekka na jego złożyłem ramieniu.
Jeszcze chwilę się ważył; wreszcie, jako fala,
Gdy się z więzów uwolni, tamy poobala,
Pędzi oślep i niema już oprzeć się na czem:
Tam — od głębi się zatrząsł i wybuchnął pła-
[czem.
Zaniechałem słów próżnych z pocieszenia celem,
Wiedząc, jak stokroć lepszym są łzy koicielem:
Niechaj płacze, niech wszystko wypłacze do
[woli,
Gdy z łzą każdą wypływa część tego, co boli!...
Wreszcie łkania stawały się rzadsze i cichsze...
Jak toń — po tym, co minął, najsilniejszym wi-
[chrze:
Jeszcze marszczy się, żywioł gdzieś igra tam na
[dnie,
Fala unieść się pragnie, lecz szybko opadnie...
Wtedy właśnie z pytaniem kierując do brzega:
— Co-ć jest? powiedz! spytałem:—i co ci dolega?
On częstem łkaniem jeszcze czyniąc mowie prze-
[dział,

O szarym zmroku tego dnia to mi powiedział:

. . . . . .

— Nie pytaj!... nieraz ciężar tak wagę przechyli,
Że się trudno powstrzymać, ot — i w takiej [chwili
Pragnie iść się do ludzi, zkąd siły się czerpią,
Zajrzeć w oczy i spytać, czy oni tak cierpią...
To i wszystko!... Wstąpiłem, jak żebrak po dro- [dze...
Brzemię nieco opadło, a z resztą się godzę...
Trudno... życie!... a pełnią kto, bracie, je pije,
Musi pełnią czuć razem, że cierpi i — żyje.

. . . . . .

Czemu jednak w tej dziwnej życia plątaninie
Nie za swoje odcierpi człek grzeszny jedynie,
Lecz i za to, co przyniósł z pokoleń oddechu,
Chociaż obcy sam przez się: za świadomość [grzechu?

. . . . . .

Posłuchaj!... Ta zapewne nieraz z mężczyzn grona
Spłynęła do cię fama o mnie ustalona:
„Ten ma szczęście u kobiet! dopiero-ż opływa!“
Już w tem samem zasada z gruntu niegodziwa!
Szczęście!... dla nich — kto żyje rozwięźle, bez [steru,
I jak zwierzę plugawe, tak chciwy jest żeru —

I drogą gwałtów wstrętnych odnosi podboje:
Ten ma szczęście u kobiet! To szczęście — nie [moje.
To jedno, — że mam w sobie pewną ducha [władzę,
Którą życie ku lepszym nadziejom prowadzę —
I że zdołam kobietę, gdy zbliżę się do niej,
Owiać wdziękiem poezyi życia i harmonii —
I obudzić — co ona najbardziej ocenia —
Tchnieniem czystem najczystsze w jej piersi na- [tchnienia...
Takie szczęście mieć może ten, co w siebie [wgląda:
Ceni boży w kobiecie wdzięk i — nie pożąda...
Kto w niej siostrę, kto bliźnią w braterstwie [rozsnutem,
Ducha widzi w czystości — sercem niezepsutem.
Śród dzisiejszej młodzieży przywdziać taką zbro- [ję —
Rzeczą rzadką i śmieszną. To szczęście — jest [moje.
Otóż wobec tej właśnie odrębnej zalety
Dzisiaj, bracie mój, cierpię przez — miłość ko- [biety.

. . . . . .

Sądzisz pewno, że zdrady doznałem bolesnej
Lub zawodu w łączności serca nierówiesnej —
I ztąd powód do bolów, trującej rozpaczy?...

Bracie mój! tu — na ziemi, Bóg widzieć sam ra-
[czy,
Ile tylko dać może kobieta ofiary,
Poświęceń i zaparcia bezgranicznej miary,
Ile tylko sił życia drogiego wytchnienia,
W którem wszystek cel w jedno ognisko spro-
[mienia —
I kocha niepodzielnie, wyłącznie i stale:
To mi wszystko przypadło najhojniej w udziale.
Mówię to całem czuciem świadomem, przyto-
[mnem,
Jak to czuję wymownie całem sercem skromnem.

. . . . . .

A więc sam nie odwdzięczam, jak słusznie się
[godzi,
I ztąd—wyrzut dręczący i piekło się rodzi?...
Cóż mam mówić? czem świadczyć?... Ot, widzisz,
[me oczy
Jeszcze dotąd w tych świeżych łez mglistej obło-
[czy,
A już niebem uśmiechów wdzięczna chwila płaci
Za jedno przypomnienie kochanej postaci!
Zresztą — jaki jest uczuć dowód lepszy próby
Nad dowód, że cierpimy dla osoby lubej?...
Nie to zatem...

. . . . . .

Cóż zatem? I wina w tem czyja?
Gdy zewnętrzność najbliższa tak błogo wam
[sprzyja:
— Co-ć jest, spytasz, co dręczy ciebie niepoko-
[kojem?...
I gdzie źródło nieszczęścia?...

. . . . . .

— W mózgu, w mózgu moim!

. . . . . .

Jakto? rzekniesz: toć pewna! jedyne to płomię —
I nic nad to, co — w mózgu odbite świadomie,
Ale-ć o n e j przewaga, ilością obfita,
Jako szczęście najwyższe dla człeka zakwita,
Ale-ć o n a geniusza ludzkiego dowodzi...
— Pozwól, bracie, że razem — o j a k o ś ć mi
[chodzi.

. . . . . .

To, co czuję, powszechnie zowią bez rachunku
Brakiem wiary w kobietę i brakiem szacunku:
Równie mylna zasada, jak płytko pojęta.
Dla nich bowiem ta wiara — w granicach zam-
[knięta
I jest czem-ś, co się kończy, jak a m e n w do-
[gmacie,
Warunkiem osadzonym, jak w więziennej kracie,
Z po za którejnie sięga pragnienie w dal wieczną;

A szacunek? — utartą, pustą formą grzeczną.
Kocha ciebie — przypuszczam — kochanka lub [żona,
Że nie zdradzi w to ufasz, — własność zape- [wniona:
Ot, i możesz spokojnie, gdy wiara już syta,
Przespać noc, jak prawdziwy ducha sybaryta;
Nikt nie uszczknie podstępnie wawrzynów twych [listka:
Otóż wiara twa piękna, otóż — miłość wszy- [stka!
Tak! lecz, bracie, wiedz razem: jaką miarą dajem,
Tą samą nam kobieta wypłaca nawzajem,
Bowiem tyle w miłości człek jasno osiąga,
Na ile własnej duszy pragnienie rozciąga —
I jak jedna jest jawa — poczęta świadomie,
Tak — i miłość — odczuta w pragnienia ogro- [mie.
Tamta w mózgu złożyła świat rzeczy pojętnie,
Ta wymierza świat uczuć w żywem serca tętnie.
Gdyś na małem poprzestał, ha! szczęścia na [drogę!...
Zawiąż ducha, jak worek! ja bo tak nie mogę:
Kocham, wierzę, więc — pragnę, — więc du- [cha promieni
Nie oprę na widomej kresowej przestrzeni,
Nie powiem, że ci dosyć, duchu nieskończony,
Tego, co z ziemskich wcieleń odbierasz skarbony...

Kocham, wierzę, więc — wątpię, — bo z tego
[wątpienia
Biorę soki czarowne do wiary żywienia,
Bo nigdy moja wiara tak się nie zasklepi,
Iżbym nie mógł jej pragnąć i silniej, i lepiej, —
Iżbym nie czuł, że z siebie i ze zmysłów koła
Człowiek może obudzić całego anioła.
Wreszcie — wierzę, czy wątpię: mniejsza o wy-
[razy,
Ale — o to, co w mózgu: o źródło zarazy.

. . . . . .

Rozważ najpierw to jedno, gdy badać nam bli-
[znę:
Jaką na świat wnieśliśmy z mózgiem ojcowiznę?...
Rozważ potem i wtóre: do obecnej chwili
Czemeśmy nadto mózg ten poili, karmili?...
Jeśli w pierwszem — już dzisiaj żałować należy,
Że nie bierzem w dziedzictwie tych silnych pan-
[cerzy,
W których słynąć by można czystości zaletą,
Zanim ślubem się z czystą złączymy kobietą, —
To już w drugiem — by przekląć bez winy
[ukrycia
Te tysiączne warunki życia i użycia,
Które tworząc grunt w człeku, od samej kolebki
Jeden mają cel: skruszyć ów pancerz niekrzepki;
Aby z czasem, gdy silniej świadomość się wzru-
[szy,

Lub cierpiał, lub też w błocie się tarzał po
[uszy.
(Że się łatwiej, niż cierpi, świadomość odurza,
Na stu przeto — stu, bracie, w tym błocie się
[nurza!)
Zrazu — piecza domowa i maleńki światek...
Więc ta słabość przedziwna nierozsądnych matek,
Które (Bog niechaj ślepej miłości wybaczy!)
Nie jak ludzi chowają, jak zwierzątka raczej...
Chwilę płochą przełożą — dla przyszłości stro-
[mej:
Jedno w dziecku kochają: to pozór widomy.
Znałem, bracie, ja matki, które wręcz otwarcie
Głosiły, iż dla synów — na pewne oparcie
Same znajdą kochanki, jako źródło leku,
Gdy synowie ci dojdą do pewnego wieku!
Tak nizko pada miłość matczyna, kobieca:
Bo — i lekarz domowy to samo zaleca!
Potem—szkoły i grono młodych rówieśników:
Więc nieskromność, przedwczesne badanie tajni-
[ków...
Gdzie iluzya młodzieńcza, mgła cudna uroku,
Co ma jedno tęczowe strony dla widoku?...
Toć pamiętasz: byliśmy już nieco dojrzali,
Żeśmy byli odrębni, koledzy się śmiali:
Bo nie zedrzeć zasłony, nie przejść grzechu mo-
[stka,
Świadczyło o wyraźnej niższości wyrostka!
Tak się blaski zaciera z młodości ołtarza:

Jeden w drugim się gorszy i, jak kłos, zaraża!
Potem — szersza arena: salon-targowisko, —
Tu już możesz podążać drogą całkiem śliską,
Tu już możesz nasycić zuchwalstwo do woli,
Ha! zwyczajem przyjętym — bez żadnej kontroli!
Więc — bezmyślność, pustota i nie jedna zbro-
[dnia,
Wszelkiej ludzkiej godności zgaszona pochodnia...
Szał, spojrzenia dwuznaczne i nieskromne ruchy,
Nad przepaści staczanie cnoty — jakże kruchej!
Aby wrażeń niezdrowych doznawać na krańcu,—
Śmiechy puste kobiece, zawrót głowy w tańcu,
Flirt-ohyda — zaguba życia świętokradzka,
I półnagie kobiety, i ciągła zasadzka,
I ciągłe odurzanie, i drażniący trunek, —
A nad wszystko ten straszny płci dwojga stosu-
[nek,
W którym jedna zdobywa, jedna ciągle czyha,
Zaś druga lub podbudza, lub godzi się zcicha —
I nic nad to, nic nad to, krom nędzy tej nizkiej:
Oto życie, zabiegi, cel, zamiar i zyski!
Miej to wszystko, mój bracie! w swym mózgu,
[jak w gnieździe,
I w tym lesie posępnym ufaj lepszej gwieździe:
Bądź innym — przy świadomej wyboru ocenie
(Bo cnoty nieświadomej zasługą nie mienię), —
Tu, tu — pośród tych ludzi pokochaj prawdzi-
[wie —
I wiedz, wiedz: że co w mózgu twojego przędziwie

Spoczęło, jak możebność, jako tylko władza,
To najchętniej się w innych w czyn sprosny
[przeradza, —
Oddaj wszystkie swej duszy blaski niezatarte!
Jak po szczeblach, przez miłość dąż w niebo
[otwarte!
I gdy pierś twa w uczucia najświętsze zasobna
(Całkiem bowiem ze światem zerwać niepodobna),
Śród twych braci, śród mężczyzn bacz drogą
[osobę,
Z których każdy, niepomny na świętą ozdobę,
To, co kochasz anielskiem serca uniesieniem,
Plami strutym oddechem, plugawi spojrzeniem —
I wciąż z myślą zbrodniczą — z za zwyczajów
[szańca —
Ma prawo obejmować, dotykać — śród tańca:
Wreszcie w samej osobie, przez ciebie kochanej,
Grzech spostrzegaj kobiecy, zdawien przekazany:
Zalotności grzech zwykły — bez jej winy prze-
[cie,
Jak odruch, w każdej pięknej drgający kobiecie,
Testamentem krwi dany, życiem umocniony,
Równie w celach zaczepki, jak w celach obrony
(Często taka zalotność o sobie nic nie wie,
Przeto drażni chuć męzką i rzuca zarzewie):
Otoż razem to wszystko do własnej wlej duszy,
Ciekawy-m, czy nie zaznasz w miłości katuszy!

. . . . . .

Pytasz, jaki dziś powód tak podciął mą dolę?
Czyli każdy oglądać mam cierń, który kole?...
Ot, drobnostka na pozór: śród gości w salonie
Śmiała się w rozbawionych arlekinów gronie:
Śmiech pusty, śmiech szalony... dotąd w uszach [dzwoni...
Zawsze potem żałuje... Nie mam żalu do niej —
Robi to nieświadomie, lecz — właśnie w tem [wina:
W śmiechu tym wszystka krucha płci jej pod- [walina,
Wielu fałszów płynących z wychowania treści,
A do których się wlicza ten — trunek niewieści.
Pijaństwo! tak, pijaństwo, godne piętnowania!
Choć je przecie tak pięknie zwą „duszą zebrania“!
Ja bo lubię śmiech, uśmiech, gdy płynie poto- [cznie,
I przez mózg się przesnuje, nim na ustach spo- [cznie:
Taki — godny człowieka, ten drugi mnie rani,
Zwłaszcza, gdyśmy ja, ona — jak duchy, zbra- [tani...
Zwykle sama odcierpi, łez wiele wyroni,
Kiedy lepsze pragnienie, jak duch, wróci do niej...
Ja tych śmiechów unikam i stronię wyraźnie:
Zwykle w drugim pokoju męczę się i draźnię,
Nie chcę słyszeć, lecz słyszę — czuję: twarz jej [pała,
A w koło z grona mężczyzn podnieta zuchwała,

A mnie łkania się cisną przy śmiechu tym wtó-
[rze.
Wreszcie z domu wybiegam, wielką niosąc bu-
[rzę.
Zresztą, czyli to jeden powód do cierpienia?...
Co dla innych nie warte, ot, ramion wzruszenia,
To przy wielkiem pragnieniu, jakie miłość daje,
I gdy w czułym rozdźwięku duch z ciałem zo-
[staje:
Pod takiej świadomości czarną, groźną chmurą,
Zrodzoną z otoczenia, wszystko jest torturą!

. . . . . .

Ja wiem, — za moje grzechy należna to kara,
Chociaż mniejsza, niż świata, ich ilość i miara;
Lecz — że jedno grzech ludzki wymierza, ocenia:
Przeciwwaga świadoma — wrażliwość sumienia,
Przeto tam, gdzie dla innych on zwykła rzecz,
[prosta:
Dla mnie bezkres dobrego wystawia i — chłosta.
Ale trudno! w tem właśnie tkwi cel i treść ży-
[cia,
I czyściec doskonaleń — ducha rozpowicia...

. . . . . .

Pytasz: inni? Ha, inni!... W tym życia odmę-
[cie,

Gdzie doczesność miast szczęścia człek goni za-
[wzięcie,
Komu chce się, na mylnej stojąc wiary zrębie,
Spojrzeć w siebie, po skarby sięgnąć w duszy
[głębie?...
Więc jedni, urągając świętości, kochają,
Drudzy kochać by mogli, lecz — czasu nie mają!
A wszystkim za skruszoną ducha pragnień tar-
[czą
Za miłość i anielstwo, at, prochy wystarczą...

. . . . . .

Ale biedny w miłości, kto na ziemskie szczęście
Oddał ducha wszystkiego i serce w zamęźcie!
I uwił gniazdko prochom na różach wygodne,
Nie przyzwał nigdy bólu na lice pogodne —
I nim iskra mu życia doszczętnie wytleje,
Zdołał wszystkie pochwycić uroki, nadzieje!...
Kto bez wiecznej rozterki, bez tęsknoty wiecznej,
Na życia radość płochą, na cel ostateczny,
Chwilę przeniósł, a słońce zaniedbał u szczytu:
Pełny ziemi dostatku — ziemskiego nasytu!
Miłość wielka, prawdziwa — nie rajskie sny
[złote!
Przez łzy, mękę i ciernie, przez ból i zgryzotę,
Przez prób i krzyżów ciężkich pasmo nieprzer-
[wane,
Jak przez piekło, prowadzi dusze powołane,

Aby kiedyś je ziemskim wydarłszy popiołom,
Czyste mogła powrócić Bogu i aniołom.

. . . . . .

. . . . . .

Umilkł — i ręką przetarł czoło białoskóre,
Jakby myśli chciał z niego zwiać resztki ponure...
Tak w milczeniu siedzący, snuliśmy ciąg dalszy
Na pogłębień wewnętrznych byt lepszy, byt trwal-
[szy...
Mrok już zapadł zupełny, lecz razem w ciemnicy
Do pokoju wszedł oknem księżyc bladolicy
I przynosząc w promieniach mgłę jasną, przej-
[rzystą,
Na posadzce ułożył się taflą srebrzystą...
Więc byliśmy, jak ci, co na chwilę zwolnieni,
W lepszych światów i czystszych zabawią przed-
[sieni...
Wreszcie powstał i kroki kierując tułacze:
— Idę do niej — powiedział: — ona teraz pła-
[cze...

L A L K A.

Żart satyryczny.

Do Czytelnika.

Z czem-że dziś stanę
Przed wasze lice?
Czem wyszukane
Gusta zachwycę?

Gdy na pieśniarskiej
Dokoła niwie
Trud gospodarski
Wschodzi leniwie, —

Gdy za niziną
Ducha — z pod ręki
Niezdarnie płyną
Słabe pobrzęki, —

Gdy więc i wasza
Pierś — wszystka maska,
Nie dla Fidyasza —
Pierś, dyablo płaska:

Lube zwyczaje
Święcąc w oddechu,
Lalkę wam daję,
Lalkę — do śmiechu.

I.

Była raz lalka,
Z krwi portugalka —
I nie powszednia:
Bo korpus z Wiednia!
I nie ze Lwowa:
Z Paryża — głowa.
Dla większej sławy
Nogi — z Warszawy.
Zwała się Minka
Lalka boginka.

II.

Była prześliczna, —
Jak lilia mleczna...
Róż lekko z lica
Blaskiem prześwieca,
A oczy duże
W pięknym lazurze,
Pod rzęs osłoną
Iskrami płoną...
Godne piosenki
Usta — wisienki...
Uśmiechem mami
I dołeczkami:
Dwa z nich z pokorą
Z ust słodycz biorą,
Pośrodku bródki
Trzeci — milutki...
Taki śliczniutkiej
Rysopis krótki.

A że ta duszka,
Ta patrycyuszka,
Zamiast serduszka
Wnętrznej drobiny,
Przy wdziękach Fryny—
Miała — — trociny:
Nie z mojej winy.

III.

Mówię to śmiele:
Umiała wiele...
Otwierać oczy,
Zamykać oczy,
Znowu otwierać
I znowu zwierać.
I — jakem żywy —
Były w tem dziwy!
Gdy zawrze oczy —
W tych rzęs omroczy,
W tych łez obłoczy:
Serce się broczy,
Łzami ocieka
Serce człowieka...
Rozemknie oczy:
Strumień się toczy,
Strumień lazurzy
Z anielskiej kruży,
Niebieski, duży,
Póki nie zmruży,
Póki nie schmurzy
Lilii i róży...
Oto rozwiera
I jasność wzbiera —
I sercu milej
Niebo się chyli,
Że jednej chwili
Gotów — zapomni,
Jak nieprzytomni
W lubej podniecie,
O całym świecie —
I o czem chcecie:
O chłodzie, głodzie
I — co w nim bodzie
Troską, kłopotem,
Życiem i grotem, —

A także o tem,
Że ma ta cenna,
Złota, promienna,
Którą niebieskim
Gwiazdom królewskim
Stawię na czele:
Trociny w ciele...
Czyż to nie wiele,
Lalko-aniele?...

IV.

Nadomiar jeszcze
Światu obwieszczę,
Że inne rzeczy
Sztuki człowieczej
Lalka umiała:
Więc w ruchy ciała,
W kształtne plecionki
Wyginać członki —
Ku wdzięków chwale,
Sennie, omdlale,
Zawsze ponętnie
I zawsze chętnie —
I jak czyj życzy
Gust zasadniczy...
Czyż chluba mała
Że się — ruszała?...
Więc palce rączki,
Jak drobne strączki,
Nóżki, kolana,
Białe, jak piana,
I ramion ręki
Alabastr miękki —
I wszystkie inne
Wdzięki niewinne,
Rada-ć, bo rada-ć
Cudnie układać...
Nawet jej biała
Pierś falowała...
I co powiecie?...
Jak lube kwiecie,
Chyląc się co dnia,
Lalkom przewodnia,
Jak inna żadna,
Lalka przykładna,
Lalka dostojna
I bogobojna,

Prawie westalka:
Klękała lalka —
Mówić pacierze:
Ojcze nasz, Wierzę...
Także koronki
Do swej patronki...
Niech ci, co szydzą,
Wtedy ją widzą!...
Ty, ateisto!
Obacz tę czystą!
Ty, ateuszu!
Moc animuszu
Chłoń parą uszu!
Rączki złożone,
Nie spojrzy w stronę...
A zamodlona,
A roztopiona
W aniołów świcie,
Jako w błękicie
Brzaski o świcie...

Tylko z ust płatka,
Jak motyl z kwiatka,
Pojąc się słodziej,
Uśmiech nie schodzi, —
No! bo bezgrzeszna,
Niebom ucieszna,
Nie pomna winy,
Jak cherubiny...
A że — — trociny...
Kto jest tak śmiały
Na ziemi całej,
By z bronią w ręku
Przeczył mi wdzięku,
Kiedy bo właśnie
Cały przyklaśnie
Zastęp pieśniarzy,
Że jej do twarzy
Było z tem bardzo,
Ale to bardzo...

V.

Niech inni gardzą
Małomównością:

Dla mnie — z pewnością!
Mówić z jejmością,

Gdy gadatliwa,
Boli do żywa...
Już wolę raczej
Tysiąc siepaczy,
Morze rozpaczy, —
Na honor! wolę
Z brzydką swawolę
(Lied ohne Worte),
Dyabłów kohortę
Wolę zabawiać,
Niźli rozmawiać
Z piękną damulką:
Z kółkiem i szpulką, —
Która wysoce
Nudna — trajkoce,
W złości potwarczej
Stuka i warczy
Dopóki starczy
Nici w maszynie.
(Uwagę czynię
Przez wzgląd na panie:
To porównanie
Z całą niezręczną
Przesadą dźwięczną
Wzięte z maszyny
Szwaczki dziewczyny...
Sza!... jest uczciwą,
Ma matkę siwą,
Kotka do psoty,
Astmę, suchoty,
Z skarbów niewiela
Mnie — przyjaciela,
Maszynę głośną,
Mękę nieznośną,
Apetyt wilczy, —
A jednak — — milczy—
I igłą dłubie,—
(Za to ją lubię).
Moja bo lalka
(Z krwi portugalka),
Jako istota
Z tęczy i złota
Najlżejszej tkanki,
Wzorem niebianki
Słynęła mową —
Przez jedno słowo.
Jedno — lecz wielkie!
Bo jak w kropelkę
Deszczowej rosy,
Gdy złotokosy
Z tysiąca kroci
Promień ją złoci:
Urokiem dziwa
Cały świat spływa —
I różnowzorej
Tęczy kolory,

I raj mamideł,
Barw, malowideł,
Olśnień i złoceń:
Takoż więc oceń,
Że w onem słowie
Cudnie, celowie
Zwarty, zamknięty
Wszystek prześwięty,
Wszystek tęczowy
Świat ludzkiej mowy...
W nim wszystkie skarby,
W nim wszystkie farby;
Wszystkie kolory
I wszystkie wzory,
Wszystkie lazury
I wszystkie chóry
Rajskie, anielskie,
Ptasie i sielskie...
Wielkie z odgłosu,
Bowiem z chaosu
Świat grzmiącą siłą
Wyprowadziło, —
Wielkie z Wesela,
Bo Jedność Wiela —
Stworzone wciela,
I Stworzyciela...
Bo dźwignią świata!
Bo ptakiem lata,

Gwiazdą lśni szczytnie
I różą kwitnie —
I z wodą płynie —
I w mórz głębinie,
Istny cud Boży:
Korale tworzy...

Z wonią majową
Płynie to słowo,
Z wiatru podmuchem
I z szumem głuchym
Sennego boru —
I w mgłach wieczoru,
Gdy rosa pada,
Lot cichy składa...

W każdej drobinie —
I w każdym czynie:
W ludzkich nadziejach,
W historyi dziejach
I w poświęceniu —
W każdem istnieniu,
Króla czy kmiotka,
Jak cudna zwrotka,
To słowo żyje,
Wstęgą się wije,
Złotem się snuje,
Myśli i czuje...

I te tu wiersze
Moje najszczersze,
Zanim się myślą
W kształty wykreślą,
W sercu najsłodziej
To słowo rodzi...

Słowo, jak żadne,
Mądre, wszechwładne,
Bo dźwięk wywodzi
Z mglistej powodzi
Czasu wieczności:
Z Nieskończoności —
I w Nieskończonem
Rozebrzmi skonem.
To właśnie słowo
Równo, miarowo
Płynęło z buzi
Lalki papuziej —
Od mechanicznej,
Automatycznej
W środku sprężyny —
Tam, gdzie — trociny.

VI.

Różne są loty
Podług tęsknoty —
I wierne kresom
Orły i ćmy są...
Tylko — że taki
Ład: one ptaki
W słońca okręgi
Niosą lot tęgi,
Gdy ta z robaka
Ćma ladajaka
Płomię tęsknicy
Gasi u świecy...
Kobiety znowu, —
Zawierzcie słowu:
Choć: s r o k i! rzekł-
[bym,
Ptakom podniebnym
Też nie sprostają,
Gdyż lotną zgrają
Tem się wyróżnią,
Iż z całą próżnią
Są lżejsze nieco —

I przeto-ć lecą,
Jak ćmy nietuczne,
Na — ognie sztuczne.
Ha! różne drogi
I różne — nogi, —
Co szlak, to cele
Odmienne ściele:
Dla jednych zorze —
Królestwo Boże,
Dla drugich zorze —
W lśniącym ubiorze;
Temu — ten święty,
Tej — dyamenty.
Temu w pokorze
Najtwardsze łoże —
I w doli kruchej
Same okruchy,
Chleb czarny, suchy,
A tej bez skruchy
Najmiększe puchy;
Temu — łachmany
Za serca rany,
Za trud kochany,
Za ból wyczuty —
Podarte buty, —
A tej — za śmiechy
Pełniutkie miechy,
Niebo uciechy,
Za piękne minki
Z kwiatów dożynki...
Temu pochyłość
Za pracę-Miłość,
Tę, jako praca,
Miłość wzbogaca
I niecność tuczy, —
Gdy cnota zwłóczy...
Cóż bo na władzę
Taką poradzę?
Cóż bo na trwogę
Taką pomogę?
I com w zasadzie
Mocen w tym ładzie?...
Jedno, co tuszę:
Ot, ku otusze
Światła pod korzec
Nie kryjąc, orzec
Czytelnikowi
Jak najróżowiej,
Jak najradośniej,
Jak najdonośniej:
Że mojej lalce
Przenigdy palce
Do takiej chwały
Nie zaświerzbiały...
O, nie!... w tem sławię
Pod niebo prawie:

Że była mimo
Wszystką rodzimą
Wziętość niezmierną,
Najbierniej—bierną.
(Rys ten szacowny,
Rys nieodzowny,
Przez wszystkie słynie
Świata boginie:
Od tej po wieki
Cudnej kaleki,
Louvre'skiej Wenery,
Nie z naszej ery,
Aż do boginki
Dzisiejszej—Minki).
Zatem misterną
Będąc i—bierną,
Brała z prostotą
Anielską, złotą,
Nieporównaną,
Co jej dawano.
A że dawano
Na wdzięków wiano,
Maż być naganą?...
A że strojono
Ten kwiat z koroną,
A że zdobiono
Tę uniebioną,
Jak obraz ramą,
Maż to być plamą?...
Kiedy to takie
Wszędzie jednakie,
Nieodwołalne
I—naturalne!
Bo czyż natura
Nie stoi w pióra
Ogona pawia,
Którym się wsławia?
Czyli niebiosy
Z brylantów rosy
Dani bogatej
Kwiatom na szaty
Nie sypią co dnia,
Gdy złoto-wschodnia
Jutrzenka-zorza
Wychodzi z łoża?
A mróz ziskrzony—
Czy w srebrne szrony
Nie stroi świerku?...
W jakiem puzderku,
W jakiej szkatule,
Na jakiej stule,
Lub na ornacie,
Cenniejsze znacie
Dyamenty w skierkach
Nad te — na świerkach...
A jakże chybię

Te, co na szybie
Tak niezliczenie
Wzorzy desenie!...
Znów kiedy wiosna
Rozstawi krosna:
Z czem porównane
Szaty jej tkane?...
Gdzie na obszarze
Iść mogą w parze,
Jakie sułtańskie
Czy Teherańskie
Dywany wschodnie —
Z tą samorodnie
Wschodzącą z trawą
Kwietną wystawą,
Z blaskiem murawy
Świetnej jaskrawej?...
Jakie ozdoby,
Jakie wyroby?...
Jakie makaty?...
Gdzie aromaty,
Z ludzkiej pracowni
Pachną cudowniej?...
Więc, dobrzy moi!
Gdy się tak stroi
Na ciągłe gody
Świat ten... nie młody,—
Gdy takie zbytki

Ziemi tej... brzydkiej—
Z naturą zgodne,
I zawsze modne,
I aktualne:
Toż naturalne
I mojej lalki:
Tiule, woalki,
Jedwabie, halki,
Gazy, atłasy,
Bawety, pasy,
Koronki, wstawki,
Brosze, agrafki,
Spinki, matynki,
Gipiury, sznury,
Miękkie fulary
I peniuary...
Takoż do miary
Pończoszki, sprzążki,
Podwiązki, wstążki,
Gumki i mory,
Piór strusich zbiory,
Przeróżne fraszki
I fatałaszki...
Zatem—dolmany,
Strojne falbany,
Paski, przepaski,
Zakładki, maski,
Negliże, berty

I sukien sterty:
Tarlatanowych
I muślinowych —
I spacerowych —
I wizytowych —
Strojnych balowych, —
Którémi zwykła,
Lekka i nikła,
Okrywać suto —
Przędzą rozsnutą,
Jak w pajęczyny,
Wszystkie — — trociny.

VII.

Z kim poprzestajesz,
Takim się stajesz!
Z ludzkiego bytu
Ta rzecz niech lśni tu,
Jak prawda wielka!
Boć rodzicielka,
Pra-babka Ewa,
Jabłka by z drzewa
Pewno nie zjadła,
Przeto-ć nie padła,
Gdyby — zuchwała —
Nie utrzymała
Ta zacna pani
Z dyabłem kompanii.
I dziś mężatka,
Ziółko i — szmatka,
Mniej by do zdrady
Miała zasady
I mniej oręża,
Gdyby nie męża —
Własnego męża —
To, co zmitręża,
Nudzi i zrzędzi,
Póki nie wpędzi
W oschłość, w lenistwo,
Złe towarzystwo.
Prawda! z tej prządki
Są i wyjątki —
I niemi służę:
Widziałem różę
Razem z pokrzywą —
I — jako żywo!

Przez chwast-hołotę
Ani na jotę
Nie uroniła
(To krwi jej siła!)
Rodu pamiątek.
Drugi wyjątek,
Gdyby był iście,
Sprawdzilibyście
Krwi siłę w walce —
Na lilii-lalce!
Lecz nie był właśnie,
Gdyż była jaśnie
Piękna porządkiem
I—nadwyjątkiem!
Jej nie zepsuło
Nic, bo nieczułą
Była na wpływy,
Na żywioł chciwy
Trujący zgubnie, —
Właśnie tak chlubnie,
Jak stosowana
Do grochów ściana...
O, tak! zaiste!
W niej wszystko czyste,
I nieskalane,
I nieskazane
Na ziemską zmianę,
Białe, jak kredka!...

Od paznokietka
Do pełnej pieczy
Najgrubszej rzeczy...
Wszystko bez zmyłek!
Tak!... żaden pyłek,
Który tak mnożny,
Taki wielmożny
W synach Kaima:
Jej się nie ima;
Żaden czerw serca
Jej nie przewierca,
Nie truje łona
Pleśń zaczajona —
Zguby zalążek...
Nie znała książek:
Po cóż by miała
Znać je ta biała,
Kiedy — zakała
Pewna te „świeckie
Książki — zbójeckie!“
(Słowa Adama), —
Kiedy bo sama
Była (ze wstęgą)
Wszechpiękna księgą,
Z tekstem niezbitym
I z klamrą przytem...
A jaka księga
Tak górnie sięga?...

A jaka karta -
Tyle rozwarta
I tyle warta?...
Więc też widomie:
Ani jej płomię
Świętego znicza
Gawalewicza,
Ani jej znana
Pieśń Felicyana
Inkrustowana,
Zmeandrowana...
Ani jej nawał
Pism, ani dawał
Codziennej manny
„Kuryer Poranny“...
Z humorystyki —
Psom na trzewiki,
Czerwono-dzikiej
Literatury,
Czerwono-skórej,
Indyjsko-burej,
Kogucio-piórej,
Judzkiej tortury,
Ślepej swawoli:
Nie znała — „Roli“,
Słowem — tak pięknie,
Że serce mięknie,
Że serce taje
Na obyczaje
Wszystkie lalczyne,
Święcie jedyne,
Ptasio-dziewicze,
Których nie zliczę...
Ot, ludzkolica
Synogarlica,
Piękna wszechnica,
Wszystka — skarbnica...
Z jasnego berła
Klejnot i perła!
A żywe księgi?
Towarzystw kręgi?
Żywe rubryki
Ciągłej kroniki?...
A któżby przecie,
Jak nie w komplecie
Personel lalek, —
Takoż nie kalek
W ułomnej skazie,
Lecz w żadnym razie
Nie do równania
Z wdziękiem zarania
Na jednej karcie,
A nawet w żarcie...
Były przy mojej,
Jak u podwoi
Stojące bierne
Raczej odźwierne...
Były przy mojej,

Jak ten, co roi,
Księżyc biadawy,
Że własnej sławy
Rozsiewa blaski,
Gdy tylko z łaski
I w drobnej mierze
Od słońca bierze...
Więc im cześć blada,
Tak bo wypada...

Byli tam jeszcze —
I tych zamieszczę
I tych opiszę:
Dwaj towarzysze.
Bo choć odmienni
Jak najznamienniej
Z szerci i maści
I — ogoniaści,
Lecz że najczęściej
Im się więc szczęści,
Gdzie lalek wiele,
Dla tego wcielę.
Pierwszy — mops gładki,
Pies z ojca, z matki;
Miano go zdobi
B o b, kto przerobi
Na włoski — B o b i.
Dawniej zażarty
Był ród coś warty
Mopsiej czeredy, —
Ale od kiedy,
Zamiast strzedz w bu-
[dzie,
Wszedł między ludzie,
Słynne w obłudzie,
Wszystko przepadło:
Gdyż porósł w sadło
I w lekkim bycie
Przez ciągłe tycie
S p s i a ł całkowicie.
Dziś mu łaskawi,
Bo dzieci bawi,
Na łapkach skacze
Bydlę próżniacze,
I w psim honorze
Liże, gdzie może...

Z lalką zażyle
Był pies na tyle,
Że (pójdziesz!... nu-że!...)
Wąchał, jak różę...
A że dorodna
Równie, jak godna
Dokoła, więc ją
Wąchał z atencyą...
. . . . . .

. . . . . Miał w poniewierce
. . . . . I łżył też wielce
. . . . . Hetce-pętelce:
. . . . . Nieraz sierć zjeżał,
. . . . . Z boku uderzał,
. . . . . Pryskał i fukał,
Zaczepki szukał,—
Drugi nabytek Lecz ten—bez cześci
Był kotek Mitek, W ogon niewieści
Toż dla odmiany Zmykał od kota:
Kwit-Kwitem zwany...Czyż nie sromota?...
Śliczny kopciuszek,
Biały, jak puszek,— Dla lalki ślicznej
Najmilszy z kotów Był za krytyczny:
I psocić gotów, Traktował duszkę,
Bo w łebku ścigle Jak kocią nóżkę,
Snują się figle... Raczej z ironią,
Ten choć w dostatkach Niż z ceremonią.
Żył, jak na kwiatkach, Otóż i Mitek
Lecz w psiej zasady Wszystek lub wszytek.
Nie poszedł ślady,
Gdyż przez fortele Na tem zakończę
Zachował wiele Te rymy gończe,
Kociego steru Ale nie cale,
I charakteru, Jeno w rozdziale,
Kociego sprytu, Aby w następnym
Rzekłbym—ambitu... Czarno-posępnym,
Psa przeniewiercę Jak noc w Erebie,

(Wszystko dla ciebie,
Mój czytelniku!)
Rozpaczy, krzyku,
Krwi skrzepłej rany
Z mózgiem zmieszanej,
Znając twe gusta,
Mieć pełne usta:
Historyi z karty
Takiej rozdartej,
Że się z nią—wiedz-że!
Serce rozedrze.

Lecz nim wyjawię,
W słońcu się spławię.

VIII.

Był dzień prześliczny,
Majestatyczny,
Złoty, słoneczny,
Wielki, świąteczny...
Już ze stołecznej
Krainy nieba
Faeton Feba
Wyjechał w szlaki
Błyszczący taki—
I odświeżony,
I odnowiony,
W świeżej pozłocie
(Dzień był—po słocie),
Że trzema słowy:
Całkiem, jak nowy.

A w nim bóg młody
Jechał na gody
Po niebie górnem,
Czystem, bezchmurnem,
Z twarzą dostojną,
Złociście, strojno
W blaski, dyamenty
I uśmiechnięty,
Bowiem się cieszył...

Ale nie spieszył,
Nie targał źrebce
W złotej kolebce,
Nie trzaskał z szykiem
Złotym biczykiem,

By puch obloków
Spędzać ze stoków,
Bo dziś szeroka
Droga: obłoka
Nie spotka w drodze,—
Więc lekko wodze
Ujął w prawicę
I piękne lice
Błogo uśmiechał,
Jechał, a jechał...

Ma czasu wiele!
Bo wiedz: wesele
(Nawias—z a r z y n k i)
Lalki mej Minki
W sutym obrzędzie
Dziś się odbędzie
Aż po obiedzie.
Zdąży, zajedzie
Słoneczny panek,—
Dopiero ranek,
Zdąży na wianek...

Może sądzicie,
Że ten na szczycie
Jadący z dzionkiem
Będzie małżonkiem...
O, nie! cel płonny!
Ten pan koronny
Z całym dostatkiem
Zostanie świadkiem.
Bo mąż słoneczny—
Mąż niedorzeczny:
Pal dyabli Feba
Gdy żonce nieba
Nie zabezpieczy
Bóg—nie-do-rzeczy...

A istny młody
Mojej jagody?...
Jeszcze z ambony
Nie ogłoszony,
Lecz jak się dowiem,
Zaraz wam powiem.

Tymczasem pocznę
Rzeczy potoczne:

Więc był prześliczny
Dzień. Okoliczny
Las i dąbrowa,
I szmaragdowa
Leśna polana,
Kwieciem usłana,
I gaj, i sioło,
I wszystko wkoło—

Stało w słonecznej,
Tej złoto-mlecznej,
Żywo przezroczej
Słońca roztoczy,
Pojąc się błogo
Osłodą mnogą,
Niebieskim darem,
Słońca nektarem...
I odśmiechnioną
Liści koroną
Niosąc hosanny
Dzięk nieustanny
Niebom na szczycie:
Za lube życie,
Za sił rozwicie,
Za czar w rozkwicie,
Za wdzięk w urodzie,
Za blask w pogodzie,
Za wszystkie plenne
Dary zbawienne...

Jakie dziś wdzięczne,
Jakie rozdźwięczne
Szczebioty ptasie!...
Harmonią zda się
W żywym rozdzwonie
Leśne ustronie,
Żywym organem,
Świetnie rozgranym,
Zgodzonym chórem...

Echem i wtórem
Wszystko odbrzmiewa:
Każdy sęk z drzewa,
Każdy liść z krzewa,
Cały las śpiewa:
Evoe—ev—va!...
Cały las śpiewa...

W dźwiękach się snuje,
Cieszy, raduje
I nawołuje...
Dzwoneczki, zele,
Poświsty, trele,
Wiwaty, gwary,
Srebrne fanfary,
Tysiączne echa,
Radość, uciecha...
Nawet dąb wieczny,
Zwykle stateczny
I zadumany,
Dziś—choćby w tany!
I siwobrody
Mech dzisiaj młody...
Każda biedronka
I każda płonka,

Każda purchawka
I każda trawka—
Dzisiaj się cieszy,
Na gody śpieszy,
Na niepojętą
Rzecz tę...
O! święto!...

A w polu, w roli
Toż cię niewoli...
Świątecznie, schludnie,
Cicho, odludnie,
Jak w Bożym domie,
Gdy niewidomie,
Jeden zostawszy
Bóg najłaskawszy,
W powietrzu lata—
I modły świata
Do tych ołtarzy
W dobroci waży...

Boć rzecz święcona,
Że w dzień patrona
W kraju wszelakim
Gdzie krzyża znakiem
Dla zażegnania
Lud się osłania,
Czeladź-gromada
Odpocząć rada:
Dzisiaj odpocznie,
Potańczy skocznie,
Jutro—na rolę!
Nim brzaski w kole
Ziemię nawiedzą.

Więc tylko miedzą
W złotej powodzi
Rolnik przechodzi
Nie spiesznym krokiem—
I mierzy wzrokiem
Te Boże łany,
A zaufany,
Pełen nadzieje,
Sercem się śmieje.
. . . . . .
Była w ogrodzie,
Cała w obwodzie
Bluszczów altana.
W niej dziś zebrana
Dziatwa kochana
Czyni od rana
Przygotowania.
Więc też krzątania
Pełno, zachodu...
Nie bez powodu!
Bowiem w omowie

Mają na głowie
I mierzą chwilę—
I rzecz nie byle,
Nie bagatelę:
Lalki wesele!

Już stół nakryty
I smakowitej
Pełen zastawy:
Przeróżnej strawy,
Różnych gatunków
Wina i trunków,
Tortów—a dalej:
Cukrów, bakalij,
Wonnych najmilej
Fig i daktyli,
Iż powiem to ci:
Że dla łakoci
Samych dostatku,
Które w wypadku
Tym rozpostarto,
Żenić się warto.

— Ach! moja pani!
(Do małej Frani
Tak mówi Mania):
Nie do wyznania,
Ile kłopotu,
Trudu i potu
Wyjdzie na skórę,
Kiedy się córę
Ma na wydaniu:
Kwiatek w zaraniu,
Lubą dziecinę,
Szczęście jedyne!...

— Tak! moja pani!...
(Do małej Mani
Tak mówi Frania):
Bez powiadania
O tym udziale
Wiem doskonale
Z własnego kroku,
Bom w przeszłym roku,
O rzeczy dbała,
Dziecko wydała...
Lecz, proszę pani!
Los był nie dla niej,
Więc się kabała
Cała rozchwiała...

— Cóż robić, pani!
Z odwiecznej dani
Taki los matek...
Tylko—wydatek,
Koszt, niepokoje,

A los na dwoje!
Często fatyga,
A z doli—figa.

— Ha! na to zgoła
Człek nie podoła,
Bo jedno pono
Z śmiercią i żoną—
A raczej z mężem,
Gdy rzecz tę sprzężem...
Ale my gadu,
Gadu i gadu,
A nic do ładu...
Prędkoż królowa
Będzie gotowa?...
Czas płynie rączy...

— Niebawem! kończy
Już tualetę...
Zrobi konkietę,
Paniusiu droga!
Taki—do proga
Tren u ogona!..
Lecz otoż—ona!
Ach, ach, ach, ach, ach!...

Trzymaj mnie w pachach,
Bogini krzepka,
Muzo! lub z czepka
Zrób na olśnione
Oczy zasłonę,
Bowiem na tyle
I w takiej sile
Wdzięki gromadne,
Wszystkie paradne,
Jak-em żyw, padnę!

Ani tak władne
Lelijej wdzięki,
Gdy kielich miękki
Rojom motyli
Lubo rozchyli
I w nim słodyczy
W woniach użyczy,
By motylkowie
Pili na zdrowie,—
Ani tak zorze
Lśniące i hoże,
Gdy z łoża wstaną
Z twarzą rumianą
I na sklepienie
Rzucą promienie,—
Jako zaranna
Ta lalka-panna,
Promiennolica
Oblubienica.

Oto, jak istna
Róża stulistna
W takim obrazie:
Gdyby na razie
Gorące łono
W śniegi wtulono:
Gdy więc odstrzeli
Od puchów bieli—
I gdy jaskrawie
W takiej oprawie,
Jak oniemiała,
Pała a pała...

Czemu szczęśliwie
Ja się nie dziwię,—
Bo krasą ciała
Któraż nie pała
Panna—u proga
Szczęścia—nieboga?...
Juź, już szczęśliwa,
Tak niecierpliwa,
W gorączce niemej...

A że my wiemy,
Co niecierpliwość,
Więc przez życzliwość,
Szlachetne damy!
Już—zaczynamy.

Przybliż się, lalko!
Przybliż, westalko!
Oto z tą chwilą,
Biała Sybilo!
Twojego łona
Miara spełniona...
Marzenia twoje
I niepokoje:
To „coś“ i „nie wiem“
Z mglistem zarzewiem,
Z iluzyą zdradną,
Prysną, przepadną:
Z chwilą różaną
Szczęściem się staną...

Przybliż się cicho,
Kwiecie z Jerycho!
Lilio bez plamy:
Już—zaczynamy!
Uderzcie w chmary,
Kotły, litaury,
Trąby i bębny...
Na dziw stugębny,
Na świat ten zrębny,
Na doły, jamy,
Góry, załamy:
Już zaczynamy.

Masz korowody!...
A gdzie pan młody?
Gdzie oblubieniec
I wdzięków jeniec?
O! ludzie mili!
Toć przeoczyli
Dzieciska lube
Ważną rachubę,
Pierwszy warunek:
Męża gatunek.
Toż niespodzianka!
Jakże do wianka,
Gdy trzeba sromu,
Że niema komu?...
Co? miłe tableau,
Przyjemne dyablo:
Mieć welon, wszystko,
Zostać — trapistką.
Cóż teraz będzie?
Przecie nie siędzie
W ubiorze zgubnym
Na koszu ślubnym
Biedna jagoda,
Bo sukni szkoda!
Pana młodego!
Kto zna, kto wie go,
Tutaj na taras
Niech daje zaraz,
Bo będzie skandal...
Poganin, wandal,
Pajac czy turek,
Wiedźcie za sznurek!...
Wreszcie starego
Pana młodego,
Byle niewieściej
Zaradził cześci.

Lecą w zapędy,
Szukają wszędy —
Hańbo rodzima!
Niema i niema!
Dla perły lalek
Niema — ot, na lek...

— Jest, jest! wyborny,
Przedni, wytworny!
Godna osoba!...
Dawajcie Boba!...
On przyozdobi
Rzecz tę... A! Bobi!
Na tu, na — Bobi!
Niech się sposobi
Waszmość z ogonkiem:
Będziesz małżonkiem!
Przybiegł i boczkiem,
Drobniutkim kroczkiem,

Łasi się, tańczy
Pies samozwańczy,
A dla zachętu
Ogonkiem krętu...
Więc na kobiercu,
Serce przy sercu
I bok przy boku,
Z losów wyroku,
Wstęgą związali
Ochmistrze mali,
Gdy się podoba:
Lalkę i Boba.

Teraz w puhary
Za zdrowie pary!

Co to?... Mąż szczeka?...
Warczy? ucieka?...
Zwinął się, skulił,
Ogon podtulił —
I zęby szczerzy...
Ratuj!... kto wierzy...
Wyrwał się, bieży,
Lalkę unosi,
Suknię zmiętosi —
Albo skaleczy...
Słyszane rzeczy!

W krzaki umyka...
Trzymaj nędznika!

O, losie srogi!
Suknię o głogi
Drze!... Tu, do nogi!...
Nie słucha... bogi!...
Pędzi, jak z procy...
Gwałtu!... pomocy!
Lalka bez mocy,
Lalka się chwieje,
Opada... mdleje...
Bezwładna... biada!...
Spadnie... och! spada...
Kamień... bęc! żona
Rozpołowiona!...
Strzępy z odzieży
I martwa leży,
I z wielkiej szramy
Sterczą odłamy
Czaszki, — głębiną
Trociny płyną...

Nie, nie! tu sławy
Oszczędzę krwawej
I widowiska,
Co serce ściska...

Na piękne szczątki
Drogiej pamiątki,
Dziś okrwawione —
Rzucam zasłonę!

IX.

Tak więc ze świata
Mija, ulata
Szybciej od ptaka
Sława wszelaka...
Okrągły pieniądz
Toczy się mieniąc...
I czas się toczy,
I świat uroczy,
Przyjaźń-zażyłość,
Wiosna i miłość, —
Nim kto ją zoczy,
Już się potoczy...
W sumie — mdła jawa
I — droga kawa,
Jak chce germański
Hejne pogański.
Dziś żyjem, gonim
W locie gawronim
Doczesną chwałę,
Zdobycz, nic małe:
Gwałtem, podstępem
Za marnym strzępem
Ludzkiej kieszeni —
Jakże szaleni!
Jakże pijani!
Gdy u przystani,
U mety samej
Nie postrzegamy
W blasku, co mami,
Że tuż nad nami
Zdradnie i zcicha
Śmierć-jastrząb czycha...
Dzisiaj się znoim,
Cieszym i roim,
W bycie służalczym
Kłamiem i walczym,
Bezczelni tchórze!
By zostać w górze,
Gdy jutro może
Dół — nasze łoże...

Gliną jałową
Zasypią z głową,
Z pamięci zorzą
Kamień położą
Ciężki, grobowy —
Z tej wzmianki słowy
Dwoma lub trzema:
Był — już go niema!
I to — problema!
Czasami — gorzej:
Nikt nie położy,
Na twe rekwije
Pies nie zawyje
I chwastem sprośnie
Wszystko porośnie...
Otóż więc życie
W całym odbycie!
I dola wszystka —
Okrawka — listka!...
Na pocieszenie:
„Reszta — milczenie“...
Te myśli w głowie
Na duszne zdrowie
Snułem przytomnie,
Gdy wpadła do mnie
Nakształt promieni
Z Bożej przedsieni,
Jasna, słoneczna,
Dziatwa serdeczna...
Skłoni się czołem,
Otoczy kołem,
Jak stadko owiec,
I prosi: — powiedz!
Powiedz, o, srebrno-
Złoty! potrzebną
Mowę pogrzebną!...
Lalka, och!... Zresztą
Sam dobrze wiesz to...
Dziś po obiedzie
Pogrzeb wyjedzie...
Z pompą, z paradą...
Goście się zjadą, —
Będą karmelki...
I taki wielki
Wzniesiem grobowiec —
Ty mowę powiedz!

Więc ja im na to
Z taką oświatą:
— Dzięki wam, dziatki!
Honor to rzadki,
Wzrusza mnie wszelki
Dowód... — karmelki?
Mówicie, dziatki...
Jakiż to gładki
Czyn z waszej strony:

Rzekłbym — natchnio-
[ny!...
W sercu je mieszczę...
Doprawdy! jeszcze
Są ludzie... Ale...
Ja nie wiem... w dziale
Tym — prócz waloru
Trzeba humoru
W przednim doborze...
Więc nie wiem... może:
Tetmajer, Lange —
Ma wyższą rangę...
I bardziej sprytni
Bardziej rarytni...
Niech oni pieją
Z całą „rozwieją"...
W sposób nie płaski
Niech mierzą w blaski...
A jam jest na ski,
Jam — szeregowiec,
Ot sobie — łowiec...
— Powiedz! ach! po-
[wiedz!
W żądaniu wtórem
Odkrzykną chórem:
— Musisz koniecznie!
— Te!... ostatecznie:
Tem mowę przetnę —

— O dzięki setne!
I w dłonie klasną
I żywą, jasną
Słoneczną rzeszą,
Śmieją się, cieszą:
Tra-la-la mowa
Będzie grobowa!
. . . . . .
W środku trawnika
Gdzie się rozmyka
Z wonią rozlaną
Kwieciste wiano,
Dół wykopano.
A nad tym dołem
Stanęła społem
Dziatwa, — ja, mówca,
Na przedzie hufca.
Słońce w oddali
Na złotej fali
Z twarzą omdlałą
Zwolna spadało —
I cisza wielka
Ukoicielka,
Jak senne duchy,
Na kwietne puchy
W woniach kadzidła
Składała skrzydła...
I było wiele,

Niby w kościele,
Przy tym zachodzie
Złota w ogrodzie.
Więc w ono złoto
Patrząc z tęsknotą,
Tutaj — nad dołem
Tak rozpocząłem:

— Była raz lalka,
Z krwi portugalka —
I nie powszednia,
Bo korpus z Wiednia—
I nie ze Lwowa:
Z Paryża głowa,
Razem dla sławy —
Nogi z Warszawy, —
Zwała się Minka
Lalka boginka,
Lecz dała młynka,
Pękła na dwoje,
Lejcie łez zdroje...

—Nie, nie! nie chcemy!
To wiemy, wiemy!
Wykrzykną dzieci:
— Niechaj się kleci,
Niech się tłómaczy,
Prosim, inaczej —
I poetycznie,
I patetycznie —
Słowem-tyradą,
Z sensem, z zasadą —
I niechaj padnie
Morał przykładnie
Z całej tyrady.

Nie było rady:
Wzięty w opały
Gromadki małej,
Musiałem górnie
Począć powtórnie:

— Czem jest to życie?
Chwilką w rozkwicie!
Drzemką w przelocie,
Niczem w istocie.
A jak lśnią nici
Najrozmaiciej
W barwnej tasiemce:
Tak w onej drzemce
Istność skrzydlata
Różnie się splata,
Różnie się marzy:
Czasami szarzej,
Czasami jaśniej,
Właśnie, jak w baśni,

Blaskiem, ułudą,
Czasami grudą,
Czasami nudą,
Dręczącą marą,
Trudem i karą,
Ciężką zagadką, —
Czasami — rzadko
Niteczką złotą, —
Zawsze — tęsknotą,
Zawsze — pragnieniem
I — nieziszczeniem.

Czem lalki w życiu,
W chwilki rozwiciu:
Wiecie to, dzieci!
Błyskiem, co świeci,
Iskrą, co nieci
Radość przelotną,
Otuchę psotną,
By później trwogą
Napełnić srogą,
Bólem-omrokiem,
Żalem głębokim,
Życia przekleństwem
I przeciwieństwem...

Znowu dla czego
Tak skośnie biegą
Drogi, nie tajna
Rzecz ta zwyczajna:
Bo wiem, wywodzę —
I to więc srodze
Nie na otuchę,
Że wszystkie kruche, —
Nie milczkiem wspomnę:
Wszystkie ułomne.

Z tej więc przyczyny,
Czy która z gliny,
Czy kontenansu
Pełna — z fajansu,
Czy nawet z wosku, —
Zawsze na włosku,
Nitce pajęczej,
W urokach tęczy
Niepewne jaje:
Szczęście nam daje —
Z jutrem, co szpetnie
Tę nitkę przetnie...
Jak szczęście czyje:
Lub się rozbije,
Lub niezaradnie
W błoto upadnie,
Lub się rozpruje,
A zawsze struje,
Życie zakłóci,

Serce zasmuci,
Ujmie, jak w kleszcze...

Więc cóż!... gdy jeszcze
To zauważę,
Iż w tym wymiarze
Ułudy złotej —
Kruchszej istoty
Wdzięki nie znane
Nad — porcelanę!
A właśnie Minki
Przymiot nie z glinki
Płynął niezdarnej
I ordynarnej,
Lecz z porcelany
Dystyngowanej,
W godnym szacunku
Przednim gatunku...

Och! z porcelany
Nieubłaganej,
Cienkiej, nie grubej,
Chluby i zguby!

Tak! z porcelany
Tej malowanej,
Ktora — iż rzekę —
Całą łez rzekę
Zmąca w potopie,
Grób w sercach kopie!...

Ty! porcelano!
Takie-ż twe wiano?...
W kwietnym ubiorze,
Takie ci łoże
Ślubne usłano?...
O, porcelano!
Fata-morgano,
O! porcelano!!...
Całą fontaną
Raz — drugi — trzeci!
Zapłaczmy dzieci!

Słońce różowe
Schyliło głowę
Właśnie w momencie,
Gdy-m tak zawzięcie
Wyrzucał pianę
Na porcelanę.
Na smutne dzieło
Oczy zamknęło,
Za ziemię-macierz
Szeptało pacierz...
Potem na szranki
Barwne firanki
Lekko zsunęło,

Potem westchnęło,
Wreszcie zasnęło.
Niech śpi na zdrowie,
Niech ma wezgłowie
Lekkie na śnicie!...

Smutne to życie,
Panie, panowie!
Cóż bo w osnowie
Pył — ludzkie mrowie

Pośród ogromu?...
Chodźmy do domu,
Panowie, panie!
Gdyż niespodzianie
Z tego oparu
Łatwo kataru,
Panowie, panie,
Które dostanie...
. . . . . .
. . . . . .

X.

Otóż więc lalka,
Z talii kart kralka,
Z talii kart całej
Życia kabały...
Wyjęta z wielu
Równie bez celu,
Iście, jak karta,
W żarcie rozdarta.
Jeśliś z ekstensu

Znalazł miast sensu
Smalone duby,
Odbiorco luby,
Mój czytelniku!
I ty, rzeczniku,
Tłusty potworze,
Mój taksatorze!
Nie dziw się wielce
Tej bagatelce:

Dziś — niedostatni
On w ciągłej matni,
Gdzie mógłby prościej:
W rzeczywistości,

A cóż dopiero
Tu — za literą,
W przygodnej karcie,
W ułudnym żarcie.

Kamienne serce.

I.

...A kiedy umrzesz już, pani, —
Bo śmierci kto się przeciwi?...
Pójdziemy wszyscy do dołu:
Szczęśliwi i nieszczęśliwi...

Więc kiedy umrzesz już, pani,
Świętym przeżegnam cię znakiem
I pójdę za twoją trumną
Z calutkim gapiów orszakiem...

Ale nie lękaj się, pani,
Bowiem skandalu nie zrobię:
Nie będę jęczał, ni szlochał,
Ani spazmował na grobie...

Nic, nic!... scen żadnych, widowisk —
Łez krwawych, konań, agonii...
Zwykłem mieć uśmiech na ustach
I cienie grobów na skroni...

A wiesz, dla czego z mych oczu
Łza żadna cicha nie spłynie?...
Za życia wszystkie dla ciebie
Spłynęły w krwawej daninie.

A wiesz, dlaczego z mej piersi
Nie wyjdzie żaden jęk czuły?...
Za życia wszystkie dla ciebie
Krwawy swój żywot wysnuły...

II.

Na cmentarz trumnę przynieśli...
Rozstania bije godzina...
Ach!... Boże!... łysych głów ile...
C-cicho... Ksiądz mowę zaczyna.

Ja, pani, mówić nie będę,
W niemej się zamknę żałobie:
Za życia serca ranami
Czylim nie świadczył dość tobie?...

„Oto tu (powie) — przed nami
Świeży się rozwarł grobowiec, —
Chlubnej pamięci ta pani
Jest wierną z wiernych nam owiec...

Że była wzorem dobroci
I cnót wszelakich ozdobą,
Napewno nieba inwentarz
Powiększy swoją osobą!

Bo nie zraniła nikogo,
Praktyce obca, co truje...“
Nie! pani! tu śmiechem parsknę—
I efekt cały popsuję.

A potem w ziemię cię włożą, —
Grabarzu! nie żałuj grabła!...
Tłum jeszcze chwilę postoi
I pójdzie sobie — do domu.

Ach!... ja się muszę rozerwać,
Godzinkę małą zostanę, —
Przeglądać będę napisy
Na grobach — wszystkie kłamane!!

III.

A kiedy będziesz już w ziemi,
Przybędą zgrają żarłoczną
Podziemni drobni grabarze
I dzieło zwykłe rozpoczną.

Więc naprzód w cudne twe oczy
Robactwo tłumnie się wciśnie:
Za tyle mojej katuszy
Może w nich pierwsza łza błyśnie.

A potem w usta cudowne
Z rozkoszą wpełznie gad rączy:
Ile-m ja wypił z nich jadu,
Tyle on pewno nie wsączy...

A więc robactwo zasnuje
Twych uszu drobnych szczeliny:
A głuchszą wtedy nie będziesz,
Niż — kiedym płakał bez winy...

A potem ciało do kości
Ogryzie orszak łakomy:
Czy-m raz ci w życiu powtarzał,
Że niczem pozór widomy?...

I tylko serca nie dotkną,
To orzech — nie do zgryzienia:
Serce nie było pozorem,
Bo serce było — z kamienia.

IV.

Aż kiedyś, po latach wielu,
Obrządki pełniąc codzienne,
Grabarz, dla kogoś tam kopiąc,
Wykopie — serce kamienne.

O! dziwo!... lat już pięćdziesiąt
Piastuje godność grabarza:
Kamienne serce wykopać —
To pierwszy raz mu się zdarza.

Więc pełen trwogi tajemnej,
Zali nie palec w tem Boży,
Do miasta z sercem podąży,
W muzeum miejskiem go złoży...

I tu nie jeden profesor
Przez okularów trzy pary
Popatrzy, głową pokręci:
— Zaiste!... rzecz — nie do wiary...

O! zimny wiedzy ty stróżu!
Coś kochał tylko szkielety:
Czemu cię dziwi zwyczajne
Serce zwyczajnej kobiety?...

O! zimny wiedzy ty stróżu,
Coś prawdy zgłębił bezdenne:
Mnie się zapytaj, mój panie!
Znam ja to serce kamienne!

Chore dziecko.

Płynęły rzeki już zwolnione
Z lodowych swych pancerzy,
Od pól od łąk powiewy niosły
Wiosenny zapach świeży.

Jaśniały szczęściem w słońca fali:
I bór, i gaj, i sioło —
I bocian, wierny strzech przyjaciel,
Klekotał już wesoło.

A w białym dworku, na łóżeczku —
Nie od dziś, nie od wczora,
Niemocą ciężką pokonana,
Leżała córka chora.

— „Matuchno! — rzecze — dzionek śli-
[czny!
Radośnie ptaszek dzwoni...
Toć otwórz okno! niech zachwycę
Wiosennej, świeżej woni!

Matuchno moja! Maj niedługo...
Nieprawdaż? Wkrótce wstanę —
Na łąkę pójdę, zbierać będę
Kwiateczki ukochane“...

— Tak, tak! — odrzecze biedna matka
I łzę przed dzieckiem kryje:
Ach! wie, że chorej nie pomogą
Lekarstwa już niczyje!

— „I do kościoła mi matuchna
Sukienkę białą włoży;
Przed księdzem kwiatki sypać będę
Do stóp — ku chwale Bożej!“

Tak, tak! niedługo maj; ty wstaniesz,
Dziecino moja droga! —
I patrzy w nią i pierś jej targa
I jęk, i ból, i trwoga...

. . . . . .

Zapada słońce już wieczorne,
Mrok szerzy się w izdebce,
Dziecina wątek marzeń snuje,
Do siebie zcicha szepce.

Oczęta dziwnym blaskiem płoną
I dziwny żar na twarzy:
O białej sukni i o kwiatkach
Na jawie śni i marzy.

. . . . . .

Noc... ciemno... Matka utrudzona
Na twarde legła łoże,
Lecz myśli rój sen płoszy z oczu,
Lecz nie śpi: spać nie może.

I znowu głuchą ciszę nocy
Dziecięce przerwą słowa:
— „Matuchno moja! tak mi dobrze!
Już jestem prawie zdrowa!...

Doprawdy, lekko skoczyć z łóżka
I biegać by się chciało!“
— Śpij, śpij, dziecino! niech sen błogi
Pokrzepi twoje ciało!

. . . . . .

O, dziwna noc! Choć widmo straszne
Matczyną pierś uciska,
Ach, czemuż w sercu dziś nadziei
Jaśniejszy promień błyska?

Więc w walce z łoża się osuwa,
A twarz ukrywszy w dłonie,
Z wezbranej piersi modły ciche
W gorącym śle pokłonie:

— O, ty! co Boską Swą źrenicą
Nad biednym czuwasz ludem
I moc utwierdzasz Swoję świętą
Niejednej sprawy cudem, —

Coś potok łez wylała krwawych
Przy konającym Synie:
Ach, spraw, Maryjo, cud w tej dobie,
Wróć zdrowie mej dziecinie!

Odmienię życie, w służbie Bożej
Gorliwość mą podwoję,
Dzień - noc na klęczkach wielbić będę
Najświętsze Imię Twoje!

I na dziękczynne nabożeństwo
Z pielgrzymów wiernych rzeszą,
Co rok o chlebie suchym pójdę
Do Częstochowy pieszo.

Z dobytku, z mienia, z pracy wszystkiej
Ofiarę Ci uczynię, —

Lecz spraw, Maryjo, cud w tej dobie,
Lecz — zdrowie wróć dziecinie!

. . . . . .

Nad ranem przyszli do izdebki
Śnieżyści dwaj anieli —
I u wezgłowia ze stron obu
Zasiedli przy pościeli.

I błyszcząc skrzydły srebrzystemi
W pomroce ranka ciemnej,
Na oczy dziecka rozemknięte
Zwiewali sen przyjemny.

A gdy usnęło, wraz zwinęli
Swój namiot śnieżnopióry —
I duszę dziecka z pieśnią cichą
Unieśli hen — do góry...

. . . . . .

Gdy do łóżeczka przyszła matka
O rannym dzionka świcie,
W pokoju wiecznym uśmiechnięte
Leżało martwe dziecię.

Twarzyczka tylko nieco zbladła
I usta posiniały...
Zasnęło, marząc o kwiateczkach
I o sukience białej...
. . . . . .

WŁADKA.

Ze znalezionego na ulicy różowego zwitka

przepisał

. . . . .

w maju.

I.

Panie Janie! Przekonana
O zacności wielkiej pana
Moja mama, razem z mamą
Ja — widząca w nim to samo,
Prosim bardzo, byś wieczorem
Najzwyklejszym w świecie torem—
Przybył do nas na herbatkę
I—kominek — (Dziwo rzadkie!...)
Nikt nie będzie z obcych ludzi —
(Czy się tylko pan nie znudzi?...)
Więc — bez wszelkiej ceremonii, —
W miłej spłynie nam harmonii
Pogawędka i herbatka.
Szanująca pana

Władka.

P. S. Wciąż na wspomnień złotej tęczy
Najczarowniej dzwoni, dźwięczy

Walc, któregośmy tańczyli...
Nie zapomnę pięknej chwili...
A pan pewno-ś tego kwiatka
Nie przechował?... Przyjdź pan!

Władka.

II.

Panie Janie! pod wrażeniem
Listu Pana piszę z drżeniem...
I choć pełna rojeń głowa,
Jestem prawie, jak niemowa,
Cała drżąca i różowa...
I choć serca żywe tętno,
Żyję jakąś niepamiętną
Jawą — dziwną, złotomętną,
I rozkoszną, i ponętną...

Ja — doprawdy — cóż ja mogę?...
Czuję błogość, słodką trwogę...
Jestem cała pod zarzewiem...
To tak nagle... Ja — ja nie wiem...
Jestem pełna dziwnej zmiany,
Jakby jaki deszcz różany —
Róż milionem — przez swawolę —
W dreszczach śmiechu — w szałów [kole —
Na mą cichą, skromną dolę,

Na ubogie me zaranie,
Upadł nagle, niespodzianie...
Jak w zerwanej kwiatów chmurze,
Same róże, róże, róże!...
I wciąż padał nieprzebranem,
Nieskończonem pasmem-wianem,
I odurzał taką wonią,
Że się próżno zmysły bronią, —
Że już prawie bez oddechu,
Nie wiem — w płaczu, czy też w śmie-
[chu,
Lecę — padam — ginę — tonę —
W zaświatową gdzieści stronę...
Nie wiem, w niebo przemienione,
Czy też w piekło uniebione...

Tak upadły pańskie słowa!
Żem jest drżąca i różowa...

Pan mi pisze tak czarownie!
To nie słowa! żywe głownie!
Z taką siłą niewolącą,
Tak rozkosznie, tak gorąco,
Że się dusza całkiem słania
Od zachwytów — od czytania...

Pan w niewolę duszę bierze
Na nieznane mi przymierze...

O! ja wierzę panu! wierzę!
Jako w słońce na przestworze
I jak w niebo i jak w zorze...
O! ja wdzięczna! ja życzliwa!
Za serdeczne te ogniwa
I za łaskę, która spływa...
Lecz — ja płonię się... Znienacka
Zaskoczyła mnie ta schadzka...
Nikt nie zwracał się tak do mnie...
Może — grzesznie to... nieskromnie...
Więc ja... proszę — ja... w niedzielę
Zwykłam na mszy być w kościele —
Do Świętego Krzyża chodzę —
Może... spotkam pana w drodze...
To — nie grzesznie i godziwie!
O dziesiątej — na wotywie!
Będę bardzo się modlila,
Aż się stanę Bogu miła...
Taka wdzięczna i świetlana...
I za siebie — i za pana...
Za te blaski — za tę róże
Całą duszą się odsłużę!

III.

Panie Janie! Tak wymownie
Rzecz wynosząc na widownię,
Prosisz łaski i promienia,
Bym cię zwała wprost z imienia
I zdrobniale — pieszczotliwie,
Jeśli w uczuć mych przypływie
Chociaż kroplę dla cię żywię...

Miły Boże! idąc za twą
Radą, pytam: czy to łatwo,
Choć się blaski w sercu plotą
I czułością, i pieszczotą:
Czy to łatwo tak odrazu,
Od słów pierwszych, od wyrazu,
Wynieść wszystko, co w zaranku
Uczuć — mój ty, panie Janku!...

Niech no tylko się ośmielę,
Będzie tego wiele, wiele...

Jabym — nie wiem — dźwięki, sło-
[wa,
To, co wiąże myśl celowa,
I co serce w ciszy składa:
Jabym w kwiaty splatać rada, —
W długie świeże, kwietne wieńce —
Me wzruszenia i rumieńce —
I nieść tobie w każdym wianku,
Lubość, słodycz — Janku! Janku!

Jabym — nie wiem — serce, czu-
[cie,
W najprzedniej niosąc nucie,
Wszystko — wszystko, — jabym cała
W jednę piosnkę spłynąć chciała —
I czarami, które dźwięczą,
Najcudniejszą błyskać tęczą,
Napowietrzną snuć się szarfą,
Rozśpiewaną płynąć harfą,
Najwonniejszą słów wiązanką,
Najwdzięczniejszą kołysanką,
Najśpiewniejszą zalecanką —
I szczebiotem — i uciechą —

I ptakami, co pod strzechą,
I powracać wciąż, jak echo,
I czarować bez ustanku
Ciebie, ciebie — Janku, Janku!

P. S. Jutro się o czwartej stawię,
Jak pan każe, na wystawie;
Czy nie będzie tylko świadka
Zbytecznego. Pańska

Władka.

IV.

W nocy.

Czy ja kocham?... Spytaj ciszy,
Którą serce moje słyszy,
Której pełne po wybrzeża
Swą tęsknotę serce zwierza...
Jak roztrąca zwarte koła,
Jak cię wzywa, jak cię woła,
Jak co chwila i bez końca
Wciąż nowego śle ci gońca,
By zanosił nad wezgłowie
Tęskne duszy mej posłowie...

Czy ja kocham?... Gdyby ptakiem
Było serce, zdolne szlakiem
Mknąć, zerwawszy wszystkie sidła —
I tęsknotę mieć za skrzydła:
Już by pewno chwilkę małą,
Nim by ciebie doleciało,
Stokroć w mknieniu niedalekiem

Chwilkę całym czuło wiekiem...
. . . . . .
. . . . . .
Śpij spokojnie! niech u łoża
Twego stanie jasna zorza,
A w niej anioł srebrny, biały,
Najpiękniejszej pełny chwały!...
Niech pod skrzydeł swych namiotem
Poi ciebie marzeń złotem,
Malowane i bez skazy
Niech przesuwa ci obrazy...
I choć chwilką nieprzytomnie,
Senną chwilką tak śnij o mnie,
Jak ja — ciebie wciąż — na jawie...
Dobrej nocy!... błogosławię...

P. S. Jutro — nie wiem, czy się zwykła
Nasza pora nie powikła:
Niedomaga trochę matka, —
Będę chciała. Tęsknię...

Władka.

V.

Widzisz, Janku mój kochany!
Jakiś ty nieprzejednany
I uparty, jak koziołek,
Gdy wyrasta mu przyczołek!
Czemu to mi się nie szczęści,
Bym cię mogła widzieć częściej —
W naszym domku, w cichych ścia-
[nach,
Nie w tych ciągłych miejsca zmia-
[nach —
(Miłych wszakże chwilką rączą,
Bo się wszystkie z tobą łączą), —
Jak nas troje — razem — społem,
Za nakrytym biało stołem,
W naszem skromnem gospodarstwie,
W rodzinnego ciepła warstwie...
Toż by serce me podniosłą
Wszystką dumą szczęścia rosło!...

Toż bym wtedy w blaskach cała,
Jak sarenka, się krzątała,
By — co chlubę mą stanowi —
Przypodobać się gościowi.

I cóż z tego, że tam zrzadka
Gderać lubi stara matka, —
Że przemówi, jak z brewiarza, —
Niechaj ciebie to nie zraża!
Bo to dobra i życzliwa,
Jak gołąbek — matuś siwa, —
Kocha, strzeże, jak źrenicy,
Nie przypuszcza tajemnicy...
A że gderze — na toż stara:
Toć jej inna świata miara...
A ja! czyli się nie kruszę,
Że z listami kryć się muszę,
Że nie mogę z niepowszednią
Moją zorzą klęknąć przed nią
I powierzyć jej dobroci,
Co dziś dolę moję złoci...
Jakoś trudno! at — przekora!
Ale przyjdzie na to pora,
Wtedy razem z Bogiem w górze
Pobłogosław, matuś, córze!

P. S. Będę. Czekam lubej pory,
A tu wcale czas nie skory...

Wzrokiem chciałabym skazówki
Do spieszniejszej pchnąć wędrówki,
By godzina, miła swatka,
Prędzej nadejść chciała...

Władka.

VI.

Ach! wybornie! niezrównanie!
Odczytawszy twe żądanie,
W zachwyceniu i w podzięce
Aż klasnęłam żywo w ręce.
Czyliż może być sielanka
Milsza w towarzystwie Janka —
Z piersią, drżącą od piosenek,
Nad wieczorny czar Łazienek!...
Przy słowików dźwięcznym chórze
I z księżycem srebrnym w górze...
Naturalnie — że pójdziemy —
Czerpać piersią zachwyt niemy!
Wszak to Czerwca już połowa,
Właśnie pora romansowa!...
Przełożyłam zręcznie mamie
(Boże! znowu przed nią kłamię!):
Niby to — do przyjaciółki...
Lotem wymknę się jaskółki
I przybędę — jak turkawka, —

O dziesiątej... trzecia ławka —
Koło Wilczej. Niech pan czeka!
Moja twierdza i opieka!...
Pójdziem, pójdziem — na słowicze
Pieśni — czary — i słodycze.

VII.

Cudny Janku! już od rana
Dusza w blaskach wykąpana,
Świegocąca i szczęśliwa,
Ku swej zorzy się wyrywa, —
Że ot dzielę się różowem
Z tobą, szczęście, wzruszeń słowem...

Ten wczorajszy wieczór srebrny
Tak mnie uwiódł w kraj zaniebny,
W takim srebrnym skąpał czarze,
Ze śniąc żyję, żyjąc marzę,
Pod aniołów wzięta strażę...
Że ot — próżno biała jawa
Zewsząd ciśnie się ciekawa:
Nie zabawi, nie przynęci
Ani serca, ni pamięci:
Nie z ziemskiego-m tutaj grona,
Cała srebrna i zaśniona!...

O! cudowne zamarzenie!
O! snów szczęścia spromienienie!...

Uroczyste, zadumane,
Tworząc zwartą w mrokach ścianę,
Stały senne i bez ruchu,
Jakby w własnych dum posłuchu,
Cichy szpaler i drzew rzędy...
Cuda wszędy — urok wszędy!...
Świat się wizyą sobowtórą
Zdawał... Księżyc płynął górą
I przez liiście — przez otwory
Rzucał dywan srebrnowzory,
Srebrnowzory, srebrnooczny,
Na alei teren mroczny...
Gwiazdy drżały na uboczy,
Jak kochanków śliczne oczy...
A od stawu szły opary
Srebrne, białe... Czary, czary!...
Bliżej znowu w cichym rzędzie
Już pospały się łabędzie...
Zrzadka który za mamidłem
Sennem trącił białem skrzydłem
I śnił dalej sen łabędzi,
Przytulony do krawędzi...

A tam w dali od zarośli
Zadzwoniły najdonioślej

Słowiczane srebrne śpiewy —
W srebrze kaskad i ulewy,
Jęków, treli, łkań i wzruszeń,
Najcudniejszych ech i zgłuszeń, —
Jakby pragnąc z drobnej krtani
Wynieść wszystkie skarby w dani —
I czarami, i pobudką
Świat osrebrzyć wokolutko...
Że aż wszystko srebrną chwałą
Żywe, jasne w gąszczach drżało, —
Że aż księżyc na wysokiem
Niebios morzu — za urokiem,
Jakby w blaskach antyfony,
Płynął bardziej rozwidniony...

Śród tych czarów dookoła,
Z gwiazdą szczęścia mą u czoła,
Cała drżąca, cała biała,
Jam w uścisku twoim stała...
I już nie wiem, czym na fali
Gdzie płynęła w niebios dali,
Czy na jasnych snów topiele
Niosły skrzydła mnie aniele,
Czy blaskami płynę z łona,
Czyli-m cała przemieniona
W potok — i w tych mgieł osnowę —
I w to światło księżycowe:
Gdy na usta me łaknące,

Gdy na oczy niewidzące
Upadały, o, jedyny,
Pocałunków twych jaśminy...

Janku, Janku! mój cherubie!
O! jak ja się tobą chlubię!...
O! jak w uczuć wszystkiem niebie,
Jak niezmiernie kocham ciebie!...
Janku! szczęście me jedyne!
Ja z miłości chyba zginę,
I w nadmierze i w zachwycie
Chyba dla cię wytchnę życie...
Tyle szczęścia lubej treści
Serce biedne czyż obwieści?...

VIII.

Piszę bardzo pokryjomu:
Dziś nie będzie matki w domu,
Gdyż wychodzi na gościnę, —
Więc na szarą przyjdź godzinę...
Sama będę — samiuteńka,
Nakształt kwiatka albo pieńka...
(Będzie tylko maciuś-kotek,
Ale on nie robi plotek!)
Przyjdź koniecznie, nieodbicie!
Moje skarby, moje życie!...
Chociaż bardzo się rumienię,
Spełnię serca upragnienie:
Będę ciebie miała w domu
I nie powiem nic nikomu...
Nie dzwoń! kto podsłuchać może...
W oknie dojrzę i otworzę —

Znak w lufciku: kwiatek świeży...
Wtedy śmiało wejść należy.
Ta na ptaka mego klatka!
Kochająca czeka

Władka.

IX.

Co to wczoraj było, luby?...
Czy anielskie jakie śluby?
Niemoc — żary — upojenie —
Jakieś krwawe rozwidnienie —
I w rozkoszach zamieranie
I zaświatów już błyskanie —
I fatalność — z pod całuna
Mgieł ogniowa jakaś łuna...
Przepaść słodka i nęcąca,
Gdzie się wszystko w szale zmąca,
Po za czuciem — po za bytem,
W drżeniu wszystkich władz rozbitem,
W żarnych plamach — w dymnych [wstęgach,
W niepamiętnych życia kręgach,
W tęczy czułej i dziewiczej,
Och! w błogości i w słodyczy

Wszystkich skarbów — wszystkiej zgu-
[by:
Co to wczoraj było, luby?...

Żem przez nowe te ogniwa
Cała rzewna — cała tkliwa
I czująca na przełomie
Mym ofiarę tak widomie —
I na fali drżąca lekkiej,
Jak łza szczęścia u powieki, —
A tak pełna rozpowicia,
Jakbym jasny kielich życia,
Gdzie dojrzałość niezawodna,
Wychyliła spełna — do dna!

Janku drogi! o, jam z tobą
Od dnia dzisiaj tą ozdobą
Zerwanego uczuć wiana —
Jam złączona, jam związana —
Spójnią życia, spójnią miana,
Sakramentem i łańcuchem,
Życiem, ciałem, krwią i duchem,
Twoja wiecznie zaślubiona,
Twoja własność — twoja żona —
Na wiek wieków — na to życie,
Co dziś pełne i w rozkwicie,

I na wszelki los przygodny,
I na śmierci uścisk chłodny,
Wszystką treścią i zasobem
Uczuć — w grobie — i za grobem!

X.

W nocy.

Lampka nocna blado płonie. —
A ja w ciszy tej podzwonie
Siedzę — czuwam, wsparłszy dłonie,
I do marzeń płynę brzega,
A sen cichy nie przybiega...
I ot jestem śród tej nocy
W jakichś duchów wielkich mocy,
Uroczysta śród ich grona,
W toń wieczystą zapatrzona,
W oniemieniu — i na straży
Tajemniczych mych ołtarzy...
Jakby jakie wielkie dzieło,
W którem tchnienie me spoczęło,
Z namaszczenia, z czci głębokiej
Poruczyły mi wyroki —
A ja z tego, co tu czuję,
Strzegę — chronię — pielęgnuję...

I zadumę długą, smętną
Pod serdeczne snuję tętno,
Jak westalka, jak kapłanka,
Koło ogniów świętych wianka...
. . . . . .

Zegar bije, — druga, trzecia...
Jakby wzywał z pozaświecia...
. . . . . .

Jestem, jako ona matka,
Kiedy jedna i bez świadka,
Macierzyństwa wdzięk najtkliwszy
W jedno czucie spromieniwszy,
Nocną porą nad dzieciątkiem
Chorem czuwa z dumy wątkiem:
Wszystkiem czuciem buja nizko
Nad najdroższą tą kołyską —
I czułością poświęcenia,
Co zagraża jej, odmienia...

O! tak cości strzegę, chronię,
W noc wgłębiona i w te tonie...

Czemu jednak z wiarą cudną
Tak mi w przyszłość spojrzeć trudno?...
Czemu, niosąc tam nadzieję,
Myśl się mroczy, błąka, chwieje,

Serce ostry ból przeszywa,
Trwoga wielka i jękliwa,
Coraz głuchsza noc ogarnia,
Beznadziejność i męczarnia?...

Ach! jak straszno! ach! jak ciemno!...
Boże! co się dzieje ze mną?...

O! ja sądzę: trwoga cała,
Żem cię trzy dni nie widziała,
Nie tonęła w twoim oku,
Nie tuliła się do boku,
Nie koiła mej tęsknoty,
Nie zaznała twej pieszczoty:
To ja sądzę, ztąd miłośnie
Moja wielka niemoc rośnie...

Janku, Janku!... Boże! Boże!...
O! ja boję się, ja trwożę...
Ja nieszczęsna, ja bezradna...
Ta noc straszna, noc bezładna
Oplątała mnie, urzekła
Dolą straszną — dolą piekła!
Janku, Janku! ku pomocy
Bywaj, wyrwij mnie z tej nocy!
Błyśnij oczom cudną jawą,
Słońca falą złoto-skrawą,
Niech mnie widok twój uśmierzy,

Niechaj fali odda świeżej,
Niech wyniesie z tej powodzi,
Niech ukoi, niech pogodzi,
Z własnem sercem niech pojedna,
Bo ja biedna — biedna — biedna...

P. S. O co pytasz, nie wiem jeszcze ...
Nie omieszkam i obwieszczę...
Sama w lęku, w strasznej trwodze
Ciężkiej próby dni przechodzę...
I niepewność — i pochyłość —
Czyżby kara za mą miłość?...

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

XI.

Tak się stało! bez rozsnucia...
Jakieś straszne mam przeczucia, —
I ty dla mnie, nic nie winnej,
Jesteś jakiś dziwny, inny!...
Boże wielki! życia chwało!
Toż by się już skończyć miało?...
Jednę chwilkę krótką nieba
Aż tak drogo płacić trzeba?...
Straszno, straszno — bez wytchnienia!
Niepamięci! zapomnienia!...

P. S. Nie wychodzę, jestem chora —
I przed duszą ciągła zmora...
Matka wezwać chce doktora.
Nie wiem, co mi: piersi bolą,
Sił upadek, rozbrat z wolą...
Skronie palą, w uszach dzwony,
Na raj dzwonią utracony!

Tylko ból ten, ból nie głuchnie,
Przy żałości — niemej druchnie!...
Ciężka próba i zagadka,
List przez stróża doręcz.

Władka.

XII.

Ciągle jedna zgryzot fala...
Matka wyjść mi nie pozwala,
Więc się męczę — ciągle zdala...
Wciąż smutniejsza, lichsza, bledsza...
Brak mi ciebie, jak powietrza
I jak wody, jak żywiołu...
Chyba lepiej już pospołu
Z sercem żywcem iść do dołu...

Jak wtrącona w jakąś suszę,
W skwar pustyni, ja się duszę...
W bólu, w męce pierś mą własną
Targam, — ognie w niej nie gasną...

O! ja chyba zmysły stracę,
Tę pamiętną kończąc pracę!...

Ta niepewność, którą żyję...
Boże! gdzie ja się ukryję,
Gdzie podzieję moje oczy,
Gdy sąd ludzki mnie zaskoczy...

I ty!... czuły oczywiście,
Pocieszenie ślesz mi w liście,
Pocieszenie — zwykłe dzieje —
Kilka słówek — z nich chłód wieje...
„Bądź rozsądną!“ jako żywo...
„Nie bądź dzieckiem! bądź cierpliwą!
„Nie bądź...“
Czemuż już nie lepiej:
Niech grób ciemny cię zasklepi,
Niechaj mroki cię pochłoną —
Z tą żałością uprzykrzoną!

Wiaro! cudna moja wiaro!
Czemu ciebie płonną marą
Pierwej w grobie nie złożono,
Nim zbudziłaś moje łono!

Sny me złote! po co, po co
Świeciłyście moją nocą,
Kiedy po was ku ohydzie
Krwawej jawa dzienna idzie!...

O! jak to się bez obrończej
Mocy wszystko strasznie kończy!
O! jak w ciernie się rozplenia
Jedna chwila zapomnienia!

Co ja pocznę? co ja pocznę?...
Czem ukoję te wyroczne
Chmury, które z groźną ciszą
Nad mą głową nizko wiszą?...
Czem ukoję i czem zgładzę
Pamięć i tę żywą władzę,
Najstraszniejszą z władz — tęsknotę,
Gdy swe mosty pali złote?...

Jest-że możność, że zapomnę,
Co wciąż sercu tak przytomne,
Co w tak wielką splata sprzeczność
Moich przeszłych dni słoneczność —
I te dzisiaj w mej rozłące
Beznadziejne łzy palące...

O! jak z każdą chwilą ciężej
Coś się we mnie wzmaga, pręży!
Tu — tu — w piersi, jak kolczasta
Obręcz, tęży się, rozrasta
I na myśli krwawej fali
Łuną bije, ogniem pali...

Że już licha — nie wiem zgoła,
Co silniejsze z tego koła:
Czy choroba, co mnie łamie,
Czy to piekło w strasznej plamie...
. . . . . .
Matka przy mnie; uporczywie
Milczy — w jakichś dum napływie,
I żałosna, i surowa —
Cości bardzo w głębi chowa,
Zęby ścina, lecz przez oczy
Nurt przegląda, co ją toczy...

Nie wiem, co w tej oczu mowie:
Czy obawa o me zdrowie,
(Bo od wczoraj po dwa razy
Bywa doktór), czy też skazy
Szukający — o, mój Boże! —
Wzrok przenika ten bezdroże...

Ach! okrutniej, niźli wina,
Ta myśl jedna z nóg mnie ścina!

Nieraz spojrzy takim wzrokiem,
Że się we mnie coś potokiem
Tu — oderwie z głębi łona. —
Że bym chciała zatracona
Do jej kolan jedną falą
Łez, co niebu dziś się żalą,

Upaść, krzywdę wszystką płacić,
Wszystko zgładzić i zatracić,
Żałość, skruchę łzami znacząc,
I tak umrzeć - umrzeć — płacząc!...

Lecz nie mogę tego zrobić,
Żeby — żeby jej nie dobić!...

A to — jakże?! — to się stanie
Jawnem — widnem — pokalanie —
Pierw, nim w wiecznej skryję nocy?!
Boże! Boże! dodaj mocy!
. . . . . .

W straszną, w straszną idę drogę:
Nawet modlić się nie mogę.

XIII.

Zrana.

Mój najmilszy! mój najsłodszy!
Ty gorące łzy me otrzyj!
Ty łzy otrzyj, które płyną
Za twą sprawą i przyczyną!...
Ja — bez mocy, ja cię proszę...
Ja poduszkę łzami roszę...
Ja po nocach tą świetlaną
Smugą płynę aż po rano —
I w zgłuszenia chwile rzadsze
Ja już łzami na świat patrzę,
Ścmioną — mokrą wciąż źrenicą...

Bo ja jedna z tajemnicą,
A tu przy mnie matka stara,
Co się próżno dźwignąć stara...

O! ty nie wiesz, jak przetrwana
Boli taka noc do rana, —

Jaka straszna i cmentarna,
Jaka duszna, od łez parna,
I jak boli, i jak parzy,
I jak krwawo się na straży
Takiej nocy w łunach marzy...

Lecz ja do cię nie z wyrzutem,
Ale z sercem w łzy rozsnutem —
Idę — niemi pokój mącę,
Wznosząc ręce błagające:
Ratuj, ratuj mnie niebogę!

Ja bym przez łzy i pożogę
Szła do ciebie, lecz nie mogę...
Bo gorączkę mam ogromną,
Siły ścięte, co nie pomną
Już swej mocy...

Wczoraj chciałam,
I upadłam — i zemdlałam...

Zaniesiono mnie do łóżka...
Gdy ocknęłam się, staruszka —
Matka tak płakała rzewnie...

Ty nie możesz przyjść, — to pewnie!

O! ja wiem to... Lecz ofiarę
Uczyń: napisz choć słów parę,
Że pamiętasz, że mej doli
Nie litować nie pozwoli
Bóg i serce... że choć zdala
Janek trochę się użala,
I współczuje, i pociesza,
I tem życie moje wskrzesza,
Że się kiedyś znów spotkamy
Jeszcze tu — u szczęścia bramy...

Wszak ja błagam tak nie wiele —
I z tem do twych stóp się ścielę...

Taka była bym szczęśliwa, —
I jak ptaszę, wolna, żywa!...

O! ty zrobisz to, napewno!
Ja tu całą modlitewną
Tęczą wiary mojej świecę!
Ja to świętym i opiece
Matki Boskiej w łzach polecę, —
Ja się z wiarą garnę do Niej...
Ona mnie podźwignie z toni,
Ona serce twe nakłoni —
I ty wrócisz — i ja wstanę —
I znów splecie się różane

Szczęście... Wszystko się wyjaśni,
Jak po strasznej jakiej waśni...

Boć to — wierzę — nie sumienie,
Tylko... nieporozumienie...

Bo choć niecoś się ostudzi,
Niemasz przecie tak złych ludzi,
Coby na nieszczęścia fali
Kochających opuszczali!...

Więc już kończę list ten łzami,
Zdrojem czystym, co nie plami,
I choć w bólu — i choć w męce,
Ja całuję twoje ręce,
Z wiarą żegnam i nadzieją,
Tęczą łez, co promienieją,
Dziś i wiecznie — do ostatka
Dni żywota — twoja —

Władka.

XIV.

Nic — i nic? Milczenie?! głucha
Noc — bez wieści? świat bez ducha?!
A ja tu w ogniowej próbie
Życie tracę, zmysły gubię?...
A ty — czekasz tam — czy z matni
Rychle wyjdzie jęk ostatni?!
Potem — cisza i zasłona?...
A ja — wiecznie już stracona?!...
Więc ty sądzisz, że do Boga
Ja nie trafię z ziemi proga?!...
Chcesz — bym wszystką tu mgławicę
Zmysłów splotła w błyskawicę,
By przekleństwo rzucić tobie,
Co się przyśni jeszcze w grobie?...

. . . . . .

O! niech prędzej już osuszę,
Rozpłakaną moję duszę, —

Z serca wszystkie — na zawieję,
Jak z łzawnicy, łzy wyleję!...
Twarda pamięć niech dostoi,
Jak w hartownej wstawszy zbroi,
Bym tej krzywdy ciężkiej... mojej...
. . . . . .

Jezus, Marya...

. . . . . .

. . . . . .

Na tem kończą się listy Władki. Wszędzieobecny jednak duch poety znajdował się w ostatniej chwili przy łożu chorej, — a co widział i słyszał, ku chwale piękna wieczystego z czcią wielką zanotował.

Noc. Martwa cisza. Schludny pokój ze staroświeckiemi sprzętami i gracikami dookoła. Stary zegar na ścianie. Dużo kwiatów w doniczkach—na oknie. Klatka z kanarkiem—między kwiatami. Na łóżku—na wznak leży w bieliźnie chora — lat może osiemnastu. Uderza białością piękną lica. Włosy jasne—zwilgotniałe—w zwojach falistych rozrzucone po poduszce, okalają głowę. Po twarzy przebiegają martwiejące cienie. Zamknięte oczy odznaczają się półkolistą ciemną linią rzęs. Obok przy łóżku u wezgłowia w dużym fotelu staroświeckim — staruszka zgrzybiała z pochyloną głową, pół we śnie, pół w zdrętwieniu. Trzyma bezwładnie w ręku różaniec. Obok—na stoliku, zastawionym lekarstwami, pali się duża gromnica, przewiązana czerwoną wstążką. Pokój nurza się w tajemniczym półmroku.

Z tyłu—u wezgłowia chorej, stoją dwaj śnieżnej białości anieli ze skrzydłami; — zrazu, jak w zadumie modlitewnej, ze wzniesionemi źrenicami i złożonemi na piersiach rękoma. U nóg—czarny anioł siedzący i nieco pochylony—w smutku i zadumie błyszczącem okiem przenika chorą.

Dwaj biali anieli (krzątają się po anielsku przy chorej)

ANIOŁ I.

Leciuchno, leciuchno,
Na boleść zarzewną,
Na dolę pomroczną,
Zsuwajmy obłoczną
Mgłę cudną, rozwiewną...
Niech władze jej spoczną,
Niech bóle jej zgłuchną,
Niech pamięć się stropi,
A czucie rostopi
W krainie obrazków
I woni, i blasków —
W snach, w snach...

ANIOŁ II.

I matkę, i matkę
Pod swoję weź szatkę!...

Bo straszna jej męka,
Bo serce jej pęka,
Patrz! zwisła już ręka...
Ach, ach!...

ANIOŁ CZARNY.

Dziewczyno, to—ziemia,—gdzie z nędzy łożyska,
Z pod ślepych przypadków ślepego igrzyska,
Zawodny nadziei kwiat wiecznie wybłyska, —

Gdzie jady trujące w powabnem tkwią zielu
I zdrada szydząca w każdziutkiem weselu, —
Trud życia i śmierci—bez celu, bez celu...

Dla sfer więc, gdzie życia bunt nigdy nie drze-
[mie,
Klnij sprawcę nieszczęścia, ród jego i plemię —
I radość wszeteczną, grób własny i ziemię!

I na mnie—powietrznym lot wsparłszy—odludku,
Podążaj na nicość—bez pragnień—bez skutku:
W toń wiecznej pamięci — i smutku — i smutku.

CHORA

(*budząc się z krzykiem, jak po dręczącym śnie*).

Nie! nie!!...

(*unosząc się*)

Kto mnie straszy? Kto to?...

(*rozglądając się — w zachwyceniu*)

Ach! to matuś!... moje złoto!
Matuś droga!... A! i Janek!
Słońce złote z za firanek...
Jaki śliczny dzisiaj ranek!...
Co ja widzę!... Róże, róże!...
Janku! jakie śliczne, duże!...
Ach, ach!... w całym długim sznurze
Sypią, sypią się wprost z nieba...
Nie! nie! Janku! nie potrzeba,
Bo pognieciesz mi sukienkę...
A to — ślubna!... cyt!... piosenkę...
Słyszysz?... Boże! to — słowiki!
Ach, ach! ileż tej muzyki!...
Rozśpiewane całe szyki,
Całe niebios śpiewne szlaki...
Ukochane... Tiu, tiu — ptaki!...
Janku!... niebo się otwiera!...
Jaka jasność wielka, szczera!...
Cały w złocie strop wysoki,
Wieńce, wstęgi, z róż obłoki...
Dosyć, dosyć! Tyle woni!...

Aż tu czuję nurtem w skroni...
Ach! a w uszach głośno dzwoni...
Dosyć, dosyć!... Tak mi duszno...
Już... już... jestem ci posłuszną...
Zaraz... zaraz... ach, z ochotą...
La, la, la, la... Ależ bo to...
Jak się pięknie wszystko składa...
Ach! bo jestem bardzo rada!...
I wciąż jeszcze mi przypływa...
Jaka — jaka ja szczęśliwa!...

(*śpiewa*)

Miała matka — la la la la —
Córkę, urok pięknolicy,
Strzegła, strzegła, jak źrenicy —
Od pokusy świata zdala, —
Jak źrenicy — la la la la!...

Ale córka, żywa fala,
Z rąk matczynych się wyzwala—
I co wieczór do strumyka
Chyżą stopką w las pomyka...
Tam się pieści tajemniczem
La la la la — z królewiczem.

Zaszła nocka z czarną chmurką,
Matka płacze, ręce łamie:
Dola-ż moja z taką córką,

Z taką wielką samowolą!...
Biada-ż takiej strasznej plamie!...
Dolo moja, dolo, dolo!...

A w tem — puk, puk! — w okieneczko:
— Otwórz, otwórz nam, mateczko!
Toć ci przecie głos znajomy:
La la la la — to my! to my!

Wejdą, błysną tęczą piękną
I do kolan razem klękną:
— Matuś! matuś ukochana!
Strzegłaś — strzegłaś, jak źrenicy,
Strzegłaś córki gołębicy —
I Bożego strzegłaś wiana,
Za to niebo ci użycza:
Zostań matką królewicza!
. . . . . .

No, już pora!
Taka jestem dziś nie skora...
Prędzej, matuś!... Boże wielki!
Gdzież te moje pantofelki?...
Zaraz — zaraz — Atłasowa
Śliczna suknia... Biedna głowa!
Toż to kłopot i ambaras:
Tyle pięknych rzeczy naraz!
Później, Janku!... później... później...

Tu — przy piersiach mi rozluźnij:
Trochę ciśnie... Teraz lepiej...
Tu kwiat biały się przyczepi —
Ach — i mirtu — mirtu — wiele!...
Prędzej — prędzej!.. tam w kościele
Już czekają — światła płoną...
Białych druchen lube grono...
Takie żywe czuję dreszcze...
Zaraz... zaraz... niech raz jeszcze
Westchnę — o, tą światła smugą...
Bo-ć to przecie już niedługo...
Matuś widzi szczęście moje?...
Ja, doprawdy, się nie boję...
Leciuteńko, jak w przezrocze
Rybka hoża — o — tak — skoczę
I — ot jestem... Już mężatka
Całkiem — a — a — a — a,—

(*wychodzi z łóżka, chwieje się i pada na podłogę*)

MATKA

(*budzi się i z krzykiem przypada*)

Władka!!

WIECZNIE ŚWIĘTEJ TU PAMIĘCI

WŁADYSŁAWA

DZIEWCZĘ-PANNA

UKOCHANIEM WSZYSTKIEM PRAWA
JAKO ROSA W POLU RANNA
GDY JĄ SŁOŃCA BLASK PRZYNĘCI
W OSIEMNASTEJ WIOŚNIE ŻYCIA
Z PROCHÓW ZIEMSKICH OPOWICIA
NA SKINIENIE ŚMIERCI POSŁA
DO WIECZNOŚCI SIĘ PRZENIOSŁA
POGRĄŻONA W BÓLU MATKA
MĘCZENNICA DNI OSTATKA
W DOŻYWOTNIEJ CIĘŻKIEJ SKRUSZE
W ŁZACH DO BOGA SERCE WZNOSI
TYCH PO SERCU DOBRYCH LUDZI
W KTÓRYCH TOŃ SIĘ WIECZNA BUDZI
O WESTCHNIENIE ZA JEJ DUSZĘ
PROSI.

A światłość wiekuista niechaj jej świeci
na wieki wieków.

Z za świata.

Do księdza — ni to duch sierocy,
Ktoś lekko puka o północy...
— A kto tam? proszę wejść!
U proga
Postać nieśmiała i uboga
Dziewczęcia — może lat dziesięciu,
Z błękitem oczu, co w napięciu
Tam — gdzie bezsilne skargi słowa,
To chyba łzy te srebrne chowa, —
Z twarzą bieluchną, jak opłatek, —
Choć w opowiciu nędznych szatek,
Lecz taka dziwna, jakby cała
O świcie we mgłach srebrnych stała,
Zaśniona w siebie, smutna, cicha,
Jak duch, gdy po za życiem wzdycha...

— A co to, dziecię? — ksiądz zapyta.

— To — chciałam prosić dobrodzieja...
Matka mi chora, lęk ją chwyta —
I w Bogu tylko już nadzieja, —
Więc chciałam prosić, by dobrodziej —
(I tu całuje księdza w rękę)
Z tym Sakramentem, który godzi
Z Bogiem i życia skraca mękę,
Pośpieszyć raczył i spowiedzi
Użyczył duszy, co się biedzi.

— A no, to chodźmy! ksiądz wyrzecze:
— To bardzo pięknie, że masz pieczę, —
Niech cię oświeci Boża łaska!...
I do dziewczęcia się przybliży,
I błogosławiąc wieści chyżej,
Po głowie czule ją pogłaska.

Poszli, — a długo szli, o, długo —
Dziewczyna z chętnym Bożym sługą,
Bo droga wiodła w te zaułki,
Gdzie nędza gniazda nizkie ściele
I plagę wszelką ma do wspólki,
Gdzie grzechu wiele — zbrodni wiele,
Gdzie dola z piekłem już się brata,
Gdzie wiele winy — tego świata...
Wreszcie nad rzeką, gdzie drewniany
Dom pod wilgocią wyniósł ściany,

Stanęli. Dziewczę naraz znikło
Drogą tajemną i niezwykłą.
Choć obcy księdzu był zaścianek,
Lecz idąc prosto na kaganek,
Co jeden błyszczał poprzez szyby,
Wnet drzwi uchylił do siedziby.

— Niech będzie Chrystus pochwalony!
W Nim pewność szczęścia i obrony, —
Oto przychodzę, matko, z Bogiem,
By was pocieszyć słowem błogiem,
I duszy, co się łamie w ciele,
Zapewnić szczęście i wesele, —
Jako, że z krynic Bożych czerpią —
Błogosławieni, którzy cierpią.

Na dźwięk tych słów Bożego posła
Z tapczana blada się uniosła
Kobieta — bólem, nędzą, głodem
Złamana — razem z życiem młodem
Zdeptana, starta z tych kolei,
Gdzie blaski szczęścia i nadziei...
Zdziwionem okiem zatoczyła
I jękła: — Jezus! Marya miła!
A to mi dano, bym na drogę
Ostatnią wzięła zapomogę!...
Ulitowała się Panienka,

By z Boga była mi jutrzenka!...
Jeno mi dziwno, spytać godzi,
Jakim tu cudem ksiądz dobrodziej
Przybył, gdy trzy dni sama leżę,
O chłodzie, głodzie, jeno w wierze —
I gdy żywego niemasz ducha,
Zkąd by mi pomoc lub otucha.

Na to ksiądz: — przecież wasza córka,
Która mi znikła u podwórka —
Ona wskazała do was dróżkę, —
Poczciwą dał wam Bóg dziewuszkę...

Tu w chorej dziw się wielki zrodzi:
— Co też powiada ksiądz dobrodziej?!
Toć moja córka — o, tam leży
Martwa — i trupek już nieświeży —
Trzy dni jak zmarła... Niemasz komu
Pochować — wynieść martwej z domu, —
Więc czekam tutaj, nim do koła
Wiecznego mnie też Bóg powoła.

Zdumiony wieścią tak zuchwałą,
Wziął ksiądz kaganek i w omroku
Szedł tam, gdzie w kącie coś szarzało —
Oświecił — zadrżał od widoku.
Bo na tapczanie martwa służka

Bolesnej wieści, taż dziewuszka
Leżała, która tu go wiodła, —
Zasnuta w śmierci sztywne godła —
Z twarzą bieluchną, jak opłatek, —
Choć w opowiciu nędznych szatek,
Lecz taka godna, srebrna cała,
Jakby w mgłach rannych się nurzała —
I tak niosąca śmierci znamię,
Jak lilia, gdy ją burza złamie,
Odrzuci iśniący kwiat za młodu
Od kwitnącego precz ogrodu...

W jaśnieniu ducha i w pokorze
Ksiądz ciałko żegnał w Imię Boże, —
A nim spłynęła nocka głucha,
Oddała matka Bogu ducha,
Olejem świętym namaszczona,
By się z kochaniem złączyć — z córką, —
Odeszła—gdzie ta jasna strona,
Gdzie byt się żadną nie ćmi chmurką —
I zkąd wspomnienie ziemskiej doli
Duszę strojoną coraz tkliwiej
Przez tęcze, blaski i obszary —
Jak sen daleki — punkcik szary
Niknący oku — chwilką dziwi,
Lecz już nie chmurzy, ani boli.

CZEKAŁEM CIEBIE...

Czekałem ciebie w ranek,
Gdy na perłowym szlaku
Z świetnego gwiazd orszaku
Ostatni zgasł kaganek...
Gdy na różowym wschodzie
W promiennych zórz obwodzie
Wystrzelił złoty wianek...
Gdy pierwszy od rubieży
Popłynął powiew świeży,
Czatownik dnia skrzydlaty —
I zbudził najpierw kwiaty...
Gdy lilie w szacie białej,
Najpierwsze śród kapłanek,
Ofiarną woń wylały...
Gdy strumień żywy gwarniej
Po miękkiej spłynął darni...

Gdy ptactwem ożywiona
Oddźwiękła cała strona,
Tak głośna, tak echowa:
Gaj blizki, i dąbrowa,
I strzecha, i zaścianek...
Gdy Boży dzień poczęty
Stał w dziwach uśmiechnięty,
Jak w kole niespodzianek,
W radosnej mgle przezroczej
Dziewicze śliczne oczy...
Czekałem ciebie z wiarą,
Czas mierząc serca miarą,
Różowe snując plany,
Nadzieją tak różany,
Promienny twój kochanek:
Nie przyszłaś — — w złoty ranek.

⁂

Czekałem cię w południe,
Gdy w znoju, w słońca skwarze,
Z czekaniem mojem w parze,
Dzień wlókł mi się tak nudnie...
Gdy patrząc w puste ściany,
Roiłem zaufany,
Że tobą ja przecudnie
Mój pusty dom zaludnię,
Że tobą go rozświecę,

Ozdobię i okwiecę,
Nad wszystkie blaski, trony
Przejaśnie wyniesiony...
Że tobą ja złagodzę
Cierń każdy na mej drodze,
Że tobą ja ukoję
Nieszczęście wieczne moje, —
Że ciebie sercu zblizka
Zachowam u ogniska
Na życia mego grudnie, —
Na smutki moje starcze
Twym blaskiem się otarczę...
Marzyłem tak ułudnie...
Nie przyszłaś, nie! — w południe.

⁂

Czekałem w wieczór cichy,
Gdy w słońcu okrwawionem,
Z purpurą, z całym tronem
Padały dnia przepychy...
Gdy potem marzycielka —
Nastała cisza wielka,
Wysokim niebom krewna,
Przeczysta, modlitewna...
Gdy w ciszy tej posłuchu
Żatonął bór bez ruchu,
Przebrzmiałe wszystkie szumy

Do ważnej wziąwszy dumy...
Gdy tęskny świerszcz za ścianą
Rodzinną baśń świetlaną
Od dziada, od pradziada,
Bez końca opowiada...
Gdy późny ptak strwożony
Do gniazda w drzew korony
Pospieszał między liście,
Zdradzając w liściach przyjście...
Gdy stulał kwiat kielichy
Na snu najsłodsze miody...
Gdy padły ros ochłody, —
Gdy ziemia orzeźwiona
Westchnęła z głębi łona...
Gdy potem żab chorały
Tęskliwie się rozgrały...
Czekałem — ważąc losy,
Jak czeka zbawczej rosy
Kwiatowy płatek lichy,
Czekałem zachodzącem
Nadziei mojej słońcem
I utęsknieniem całem,
I trwogą mą czekałem...
Nie przyszłaś — — w wieczór cichy!

Więc nocą, gdy tęsknota
Otwiera oścież wrota,
Gdy gwiazda gwieździe zwierza
Tajemną treść przymierza,
Gdy księżyc światłolicy
Ze srebrnej swej prząśnicy
Uroczne blaski mota...
Gdy rozstrzępioną zgrają
W dolinach mgły powstają
I idą błędne, chwiejne,
Jak duchy beznadziejne,
Na pola, łąki, lasy —
Na zwodne wciąż wywczasy...
Gdy pełno śród obszaru
Księżycowego czaru,
Srebrnego w szeptach gwaru,
Bezdźwięcznej, księżycowej,
Bezustej jakiejś mowy:
Czekałem, siadłszy w progu
Z niedolą mą w rozłogu,
I twarz ukrywszy w dłonie,
Spadałem w smutków tonie,
Gdzie mgła się wieczna chwieje,
Bez wiary w mą nadzieję,
Bez wiary w jutrznię moję,
Bez wiary w to, co roję,
I z beznadziejną marą,
I z wiary już niewiarą...

Spadałem w otchłań szarą,
Już całkiem duch-sierota,
Gdzie wieczna ciemń, martwota,
Gdzie duch drętwieje z ciałem,
Jestestwem mem omdlałem
I czuciem zapadałem...
. . . . . .

I wtedy przyszłaś, złota!

⁂

I wtedy przyszłaś, złota!
O! wdzięku! o, uroku!
O, tęczo mego wzroku!
Nad wszystkie blaski, zorze
Jaśniejsza na przestworze...
Żywego serca drżenie
Niosąca na świadczenie,
Najżywszą serca tkliwość,
Najtkliwszą serca żywość,
Rozłąkę — kres pośpiechu
Stwierdzając łzami w śmiechu...
Rąk-lilij białych dwoje
Oplotły szyję moję,
A ja — z za mgły rozsnucia,
(O! przenajsłodsze czucia!)
Uczułem, jak bezkreśnie,

Uczułem, jak radośnie,
Ku szczęścia wiecznej wiośnie
W zachwytach duch mój rośnie...
W odrodzin tych godzinie
W uśmiechach jasnych płynie...
Uczułem, że z tą chwilą
Czarownie się odchylą
Mych ziemskich dróg przesłony,
Że w blaskach odrodzony
Na wieki duch mój wskrześnie,
Uskrzydli swe orędzie
I chwilą wieczną będzie,
I wieczność w chwili sprzędzie...
Że życie me łabędzie
Na cichych wodach prześnię,
Otęczę i opieśnię,
W cud — w jedno zachwycenie
Zestrzelę i spromienię...
Że słońce chłonąc jasne,
Na życia mrok nie zasnę, —
Że z jawy mojej we śnie
Nie ocknę się boleśnie...
Bo przyszłaś podać leki,
I z ducha mi powieki
Na żywot podjąć lekki —
Bym bratał się na wieki,
Z duchami tak rówieśnie...
. . . . . .
Dla czego tylko we śnie?...

ANIOŁ MIŁOŚCI.

Gdy straszny gniew Boga, wstrząsnąwszy nie-
[biosy,
Spadł ludziom przekleństwem na głowę,
I Anioł Miłości, co wiązał ich losy,
Przelękły — utracił swą mowę.

Zapłakał, — a jednak dla cierpień łaskawsze
Opuścił niebieskie mieszkanie:
Ten Anioł Miłości, on bronił ich zawsze
I teraz podzielił wygnanie.

Choć słodkie mu zmarły na ustach szczebioty,
On milcząc na Ewy jagody
Kładł pierwsze całunki kojącej pieszczoty,
Pociechy, otuchy, osłody...

Adama nauczył, jak srogą potrzebę
Ujmuje przemyślny trud w pęta:
Więc — namiot zbudować, więc — w skiby
[rznąć glebę
I pierwsze przyswoić zwierzęta.

I chociaż niemocą miał język dotknięty,
Dopełnił poświęceń swych miary:
Nauczył wznieść ołtarz dla Bożej czci świętej
I składać z pierwocin ofiary.

Stos płonął ofiarny, złociło się zboże
Na pustym niedawno rozłogu:
To Anioł Miłości utwierdzał w pokorze
I zwolna powracał ich Bogu...

Tak czarne zdzierając z ich doli osłony
I czyniąc znośniejszem to brzemię,
Gdy widział, że Raj już na zawsze stracony,
Do Raju przybliżał on ziemię.

Więc Pan Bóg ujrzawszy zabiegi Anioła,
Jak zacnej przoduje wciąż sprawie,
Zdjął smutek z oblicza i chmurny cień z czoła
I wyrzekł z uśmiechem łaskawie:

— Zaprawdę! ten Anioł—bez mowy, tak skrzętny,
Zniewolił mnie sercem gorącem:
Od dzisiaj w nagrodę zasługi pamiętnej
Niech mówi języków tysiącem!

I oto — dlaczego na ziemskiej przestrzeni
Złączonych serc liczba tak mnoga, —
I oto — dlaczego, za grzechy wzgardzeni,
Przez Miłość wracamy do Boga, —

I oto — dlaczego, im miłość goretsza,
Tem mniejszy słów dobór posiada:
W milczeniu wysnuwa czarowną nić z wnętrza,
Jak Anioł, gdy mowę postrada.

MATKA.

Gdy dziecię bez chmurki u czoła
Przybywa przed jasny tron boski,
Dostaje skrzydełka anioła
I buja swobodnie, bez troski...

Gdy znowu kochanka lub żona
Opuszcza niedoli te kraje,
Do rzędu szczęśliwych wliczona,
U Boga zazwyczaj zostaje.

I tylko anielskie pragnienie
Na ziemskie wysyła rozłogi,
By przebył doczesne więzienie
Ten, który jej sercu był drogi...

Lecz kiedy Bóg matkę zabiera,
A dziecię na ziemi zostawia,
To matka swe serce otwiera,
Do Boga tak rzewnie przemawia:

— O! Panie! choć nieba Twe piękne,
Blaskami nęcące złotemi,
Lecz ja się i szczęścia ulęknę,
Gdy dziecię tam moje na ziemi...

O! pozwól! niech wrócę do niego
Jak cień, tam—na ziemi zostanę:
Gdy matki go skrzydła nie strzegą,
Kto życia złagodzi mu ranę?...

Bóg tedy zezwala łaskawie, —
Więc zdąża do dziecka z powrotem
I strzeże go we śnie, na jawie —
(Choć dziecię nie zawsze wie o tem).

Prostuje mu ścieżki żywota,
O szczęście tak pełna obawy!
Aż wreszcie — o, chlubo ty złota!
Z dziecięcia wyrasta mąż prawy.

Więc gwiazdę wskazuje nad czołem,
By życia zasłynął ofiarą
Jest stróżem najlepszym aniołem,
Natchnieniem, otuchą i wiarą...

I ręką kieruje do czynu,
I śmiałym uzacnia go lotem,
By uszczknął gałązkę wawrzynu —
(Choć dziecię nie zawsze wie o tem).

Tak czuwa do końca dni życia,
A kiedy nadejdzie śmnierć sroga,
Wydziera go z prochów spowicia
I duszę odnosi do Boga.

I tam ją przed sądem tak broni,
Jaśniejąc nad wszelki wdzięk milej,
Że wreszcie sam Bóg się nakłoni
I nieba dla dwojga uchyli.

MAGDALENA.

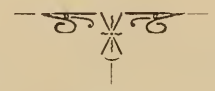

Odkąd ja Ciebie ujrzałam, o, Chryste!
Odtąd mi balsam Twoich słów kojący —
I Twoje lice, od blasków przejrzyste,
I Twoje oczy, o, błogosławiący!...
Odtąd odbiegły moje żądze mgliste
I odtąd Tobą, Tobą żyję, Chryste!...

Jak ten, co idzie pełen zachwycenia
W słoneczne, pięknem ukwiecone kraje,
I sam się w blaski słoneczne spromienia,
I sam się jednem zachwyceniem staje,
Że zda się płynąć w szlaki promieniste:
O! tak mi z Tobą, z Tobą, błogi Chryste!...

Jak ten, co pragnie wszystkiem światłem duszy,
Ku ubóstwianej zdążając osobie,
Lecz zanim myślą wdzięk luby poruszy,
Już wszystko niebo odnajduje w sobie:
O! tak mi w sercu — zaprawdę, zaiste!
Ciebie i jasność tylko widzę, Chryste!

Więc mi już niczem ta ziemia dokoła,
Więc mi już niczem pamięć wracająca,
Bo oto pragnę w skupieniu anioła
U nóg Twych przetrwać aż do dni mych [końca —
I pić anielstwa te źródła przeczyste,
I czuć na sobie Twoje dłonie, Chryste!...

I w szczęściu onem, w radości nadniebnej,
Tą zamodloną ku Tobie źrenicą
Niosąc wielbienia hołd niemy, służebny,
Lubo łez płynąć przejasnych krynicą,
Lubo tak zostać na sny wiekuiste,
Jedno — byś w duszy mi jaśniał, o, Chryste!

Sen życia.

Pieśń żyje we mnie, pełnia jaśnienia,
Pełna cudownej władzy proroczej,
Ale nie może wynijść z uśpienia:
Ciało ją tłoczy.

W tem sercu, które bólem się ściska,
W piersi, gdzie krwawe rodzą się zorze:
W sercu i w piersi — tam jej kołyska,
Tam jest jej łoże...

Czuję ją, czuję całą potęgą
Tego, co żyje, boli i trawi,
Choć ona tylko niknącą wstęgą
Ludziom się jawi...

Wiem ją i czuję w gorącym duchu
Miarą olbrzymiej światu korzyści,
Choć ona tylko w drobnym okruchu
Życiu się iści...

Ani jej w ustach mych piorunowy
Okrzyk, ni tęcza w świateł rostoczy:
Niemy szept jedno słaby, echowy —
Ciało ją tłoczy.

Ani powstanie kiedy przejaśnie
I całokształtnie z pod woli dłuta:
Jak przez mgłę ciemną, zaledwie brzaśnie—
Prochem osnuta.

I tak żyć muszę z duchem płomiennym
Z poczuciem władzy setnie owocnej,
Jak nędzarz — lichym odruchem sennym
I nic nie mocny...

Aż gdy mnie walka długa pokona
I precz odniesie od żywych proga:
Wtedy pieśń moja — wszystka — zwol-
[niona
Spłynie — do Boga.

Syn Wieku.

— Matko moja rodzona!
Słońce jasne nademną...
Czemu w duszy mej ciemno,
Choć mnie tulisz do łona?...

Czemu już mnie nie nęcą
Świata czary i wdzięki
Te, com w echach piosenki
Wchłaniał piersią dziecięcą?...

Czemu duszą ja czerstwą,
Krzepką myślą nie żyję?
W sercu tylko mam żmije,
W ustach tylko szyderstwo...

Czemu zaród zniszczenia
Wplótł się chwastem w mą głowę?
Tłumi wszystko, co — zdrowe,
Co nikczemne, — rozplenia...

Czemu w lęku i w trwodze,
Gnuśną zdjęty chorobą,
Nie mam celu przed sobą,
Nie mam gwiazdy na drodze?...

Ach! już nie raz w obłędzie,
Choć do grzechów to liczę,
W myślach błyska zbrodnicze,
Samobójcze narzędzie...

Matko! jaka obrona?
Jaka pomoc i rada —
I co czynić wypada?
Powiedz, matko rodzona!

Tak się skarżył syn wieku
I na matki swej łonie
Rozpalone kładł skronie,
Pragnąc ulgi i leku...

. . . . . .

Łza gorąca, łza wielka
Spadła z oka macierzy
(Ach, i przepaść wymierzy
Jedna taka kropelka!...)

Więc za rękę swe dziecię,
W pełni serca uczynnej
Wiedzie tam, gdzie rodzinny
Klęcznik przetrwał stulecie...

Tam gdzie ojce i dziady,
W uciążliwej walk chwili
Kornie głowy chylili,
Żłobiąc kolan w nim ślady...

Ach, tam źródłem do czynu
Bije żywa ochłoda!...
I tam radę mu poda:
— Módl się ze mną, o synu!

Niech inni wille...

Nie inni wille, zdobne pałace,
Ja domek skromny i cichą pracę
Rymami głoszę;

Niech inni złoto, zbytkowną modę,
Ja ducha pokój, myśli pogodę
Nad nie przenoszę.

Domek mój prosty: wejścia skromnego
Ni halabardy, ani też strzegą
Herbowe znaki,

Ani w nim puchy, ni aksamity,
Ni się od złoceń nie gną sufity, —
Sprzęt ladajaki...

Lecz pokój wielki w mym domku gości,
Tak jakby anioł, pełny jasności,
Zamieszkał ze mną:

Więc ani złości, ni zdrożnej chuci,
A więc mi szczęścia nikt nie zakłóci
Larwą nikczemną...

Wędrowcze miły! z dalekiej drogi
Do mego domku w gościnne progi
A wejdź-że, proszę!...

Rad z duszy-serca, ja ci pokażę
Ubóstwa mego ciche ołtarze,
Życia rozkosze;

Jak hart w potrzebie mając niezłomny,
Przestać na małem i myśli skromnej
Zachować straże,

Jak chwili gardzić pustą swawolą,
Jak wytrwać ufnie, gdy rany bolą:
To ci pokażę!

I ty, do mego domku, o, Nino!
Wejdź, złotowłosa, szarą godziną,
Jak promień słońca...

Skarbów cię moich otoczę plonem,
Kochać nauczę sercem natchnionem,
Kochać — bez końca!

TRUBADUR.

Ostatnim blaskiem krasnych smug
Dogasał zachód, mrok już był,
Gdy na królewski złoty próg
Wszedł pieśniarz z harfą, otarł pył.

A przed królowej jasny tron
Zawiedzion, pięknie rzecze tak:
— Pieśniarzem jestem z obcych stron
I jestem, jak niebieski ptak,

I nie mam pól, ni łąk, ni stad,
Lecz serce mam i harfę mam,
I damom pieśni śpiewam rad:
Królowo, pozwól, niech ci gram...

— Więc śpiewaj! — rzekła. Struny brzmią,
Królowę w zachwyt wprawia śpiew,
A on, jak w tęczę, patrzy w nią
I płonie; król zaś marszczy brew.

I został pieśniarz dłuższy czas,
I grał, i śnił o raju tam;
Aż król ogłosił wyrok raz:
Pieśniarza precz z królewskich bram!

Jak straszna wieść! jak krwawy los!
Ostatnią pieśń królowej gra!...
— Królowo! — jękiem rwie się głos,
— Pieśniarzu! — błyszczy w oczach łza.

— Królowo! choć ten rzucam raj,
Zostawiam harfę — duszę mą:
W sypialni staw i posłuch daj,
Co noc obwieści tobie grą...

I poszedł pieśniarz w obcy świat...
W sypialni harfa miejsce ma...
Królowa więdnie, schnie, jak kwiat,
Co rok żałośniej harfa gra...

Aż raz w przepięknej nocy czar,
Gdy księżyc swój promienny ślad,
Jak ukojenia boski dar,
Na smutno brzmiące struny kładł,

Poczęła harfa dziwnie łkać,
I wszystkie struny jękły wraz,
I wszystkie pękły, dając znać,
Że w obcej ziemi pieśniarz zgasł.

Z cyklu: PAMIĄTKI.

Na mojem biurku śród przedmiotów
Wartości pamiątkowej,
Jest jeden dla mnie najcenniejszy:
To przycisk marmurowy.

Bo na przycisku tym rzeźbiona
Przed laty z pierwowzoru
Prześliczna ręka, najpiękniejsza
Z rąk Bożych arcytworu...

Prześliczna ręka, najpiękniejsza,
Cud wdzięku i harmonii,
Stworzona na to, by dzierżyła
Anielskie berło w dłoni

I przewodziła niepodzielnie
Aniołów jasnych świcie —
I rozsiewała za skinieniem
Dróg jasność po błękicie...

Prześliczna ręka, najpoczciwsza
Z tych, które-m znał na świecie,
Bo jedna dla mnie tu — na ziemi
Zrywała — samo kwiecie...

Prześliczna ręka, ukochana,
Bo wiodła w takie kraje,
Gdzie jednem pięknem, blaskiem, tęczą
I snem się życie staje.

Prześliczna ręka, opiekuńcza,
Bo wszystkie moje rany
Dotknięciem błogiem ukajała:
Lek cudny, nieskalany...

Prześliczna ręka, najżyczliwsza,
Promienna, jasna, biała,
Bo mi na życia smutną drogę
Błogosławieństwo dała...

O! jakże często w zapomnieniu,
W rozmyślań tęsknej porze,
Ustami tonę w zimnym głazie,
Jak niegdyś w pierwowzorze...

Jak niegdyś, jak ten raz ostatni,
W noc straszną, wielką, ciemną,
Gdy ręka była taka zimna,
Jak tu, tu, dziś — przedemną...

Gdy po niej biegły rozwiązane
Łzy moje, łzy bolące...
Gdy mgły ją potem jakieś skryły,
Mgły, których nie roztrącę...

. . . . . .

Wspomnienia żywiej przeciągają,
Wypływa łza na oczy:
O! jak mi marmur ten boleśnie,
O! jak mi serce tłoczy!

Ze wspomnień OJCOWA.

(fragmenty).

I.

. . . . . .

...To znów na skały sterczącym odłamie,
Jak błędny, stanę i ręce załamię,
I spojrzę na dół w dziką przepaść jaru,
Jak ten, co dobrze nie świadom zamiaru:
Zmysły utracił i już bez pamięci
Jedno pamięta, że przepaść go nęci...
To znów na chwilę odzyskam nadzieję
I na twarz padnę, łzami się zaleję,
I płaczę rzewnie — i skarżę się czulej,
Jak ci, co wierzą, że ktoś ich przytuli...
A potem wstanę, żal patrzy mi z lica,
Idę w srebrzystym odblasku księżyca,

Jak ci, co we śnie lunatycznym wstaną,
Podjęci z łoża nadzieją świetlaną,
Gdy im snu bożek ukaże widziadło
Szczęścia, co było—na zawsze przepadło...
Albo mgły nocne z sennego omdlenia
Budzę zaklęciem drogiego imienia...
I tylko skały milczące, olbrzymie
Ponurem echem odwtórzą to imię...

⁂

II.

. . . . . .

Przez ból, przez ciernie, przez troskę żywota
Pójdę, gdzie wiedzie mnie żal i tęsknota...
W bezdennych smutkach me serce pogrzebię,
Tobą żyć będę i zapomnę siebie...
Z chaty do chaty i z sioła do sioła,
Gościńcem, lasem i tą żytnią miedzą
Pójdę i szukać cię będę dokoła,
I pytać dobrych ludzi, czy nie wiedzą:
Czy nie szła tędy, czyli nie jaśniała
Blaskiem, jak anioł i jak lilia biała...
A gdy się tutaj zakończy ma droga,
To może ciebie odnajdę u Boga,

A on, wzruszony moją ziemską troską,
Pociechę poda źrenicą ojcowską—
I tam — z aniołów przeczystego koła —
W niebie mojego powróci anioła.

Kwiat stracony.

(słowa do śpiewu).

Powiadają, że na ziemi
Rośnie cudny kwiat:
Bóg go rozsiał dłońmi swemi
Na ten biedny świat...

Kwiat ten goi wszystkie rany
I serdeczny ból:
Czy to cierpi człek nieznany,
Czy sam mocny król...

Dość jest zerwać jeden puszek,
Hej! by młodość mieć:
Czy to życzy król-staruszek,
Czy też biedny kmieć.

Kwiat ten cudnie ma zawierać
Przeciw śmierci lek,
Czyli zechce nie umierać
Król — czy prosty człek.

Z twego serca strzelił ku mnie
Taki cudny kwiat, —
Jam z królami mierzył dumnie
Mojej władzy świat...

Jam z wszechmocą jasnych duchów
Białe skrzydła miał,
Gdym na ustach z kwietnych puchów
Nieśmiertelność rwał...

. . . . . .

Zwiodła życia zmienna kolej
Śród nielekkich prób...
Kwiat stracony, serce boli
A przedemną — grób.

Do mojej piosnki.

Piosnko moja! ptaku szary
U domowych wrót!...
Gończe miły prostej wiary,
Prostych serca cnót!

Ani dla cię piór jaskrawy
Złotolśniący blask,
Ani klatka taniej sławy
I magnackich łask...

Ani dla cię na wygonie
Nie utrudny kłos,
Ani tęskny lot ku stronie
W szron nie skrzepłych ros...

Ale dla cię tam przyjęcie,
U tych prostych strzech,
Gdzie zrąb stary stoi święcie,
Choć go srebrzy mech...

Tam, niepomny trudu-znoju,
Leć, mój ptaku, leć!
I oliwny liść pokoju
Ludziom w serca wpleć!

NIE WIEM...

(z cyklu „NASTROJE").

Ja nie wiem, kto jest, kto gdzieś na mnie cze-
[ka —
I nie wiem—przy mnie, we mnie, czy zdaleka,
Czy z pod grobowych trumien ciężkich wieka,
Czy z tego ducha, co we mnie wyrzeka...
Postać anioła — upiora — człowieka...
Ale wiem jedno: gdzieś — ktoś na mnie czeka.

Więc kiedym tęskny, wyciągam ramiona:
Czy kiedy dusza ma osamotniona,
Czy kiedy milczę śród przyjaciół grona,
Czy kiedy ciężka nad życiem opona,
Czy kiedy serce beznadziejnie kona:
Tęskny i smutny wyciągam ramiona...

I czuję, jak mnie pociąga i woła:
Do nieznanego wieczystego koła,
Do naw samotnych mrocznego kościoła,
Gdzie snów kamiennych nic płoszyć nie zdoła,
Gdzie wiecznym blaskiem pogodnieją czoła:
Czuję, jak nęci mnie smutnie i woła...

Więc chociaż nie wiem, czy sen da przyjemny,
Czy niezmierzony, jak wieczność, grób ciemny,
Czy niezbadany świat nowy tajemny —
Przedświt — czy rozkosz — raj — uścisk wza-
[jemny,
Iść pragnę, chociaż nie wiem, czy nikczemny
Byt — czy mrok — nicość — czy sen da przy-
[jemny.

FRAGMENT

z jednoaktówki p. t. „ŻYJE!“.

Samotny!... Czyż samotnym jest ten pośród lu-
[dzi,
Kogo miłość nawiedzi, a nadzieja łudzi?...
Komu w piersi aniołów gra orszak harfowy,
Czyje usta drżą nieme od pragnień wymowy?...
Kocham!... Gdyby czarowne tego słowa dźwięki
Wypuścić, jako ptaszę z rozpieszczonej ręki,
Świata krajbym napełnić chciał lubym szcze-
[biotem,
Gdzie żyjesz, gdzie królujesz, gdzie gościsz prze-
[lotem...
A jeśli ptaszę moje strudzone ustanie,
Chciałbym echem, zaklętem w tysiączne wyzna-
[nie,

Życie, wieczność i dłużej istnieć tylko po to,
By serce twe napoić najsłodszą pieszczotą!
Kocham!... O, nocy moja! nocy powiernico!...
Do ciebie idę z drżącą serca tajemnicą
Całować nocny powiew, co kołysze drzewa,
Szczęśliwy przez to jedno, że dla niej powiewa!
A może który zefir przez pustą swawolę
Pocałowaniem trwożnem spocznie na jej czole...
I — szczęśliwy faworyt uprzejmości losów —
Igrać będzie swobodnie z puklem wonnych wło-
[sów:
O, nie, nie, nie! zazdrosnym o was, nocne
[posły!
Honor dla was za wielki, cel — nadto wynio-
[sły, —
Nie jako powiernicy, — bądźcie, jak poddani,
I do nóg wszystkie pokłon nieście mojej pani!
Jak bywa kiedy czasem przy morskim przypły-
[wie,
Że się fala rozbije łagodnie i tkliwie,
Przynosząc z głębin morza wszystkie ciche bóle:
Tak wy jej drobne stopy ucałujcie czule!...
Kocham!... Błogosławiony bądź, miłości Boże!
Za niebo uczuć w piersi, za promienne zorze,
Któremi z bytu ciemnic odchylasz zasłony:
Za niebo, raj i szczęście bądź błogosławiony!

BALLADA

z jednoaktówki p. t. „STRACHY“.

Przed laty stał zamek na stromych skał ścianie,
Lecz zgorzał pod ogniów zarzewiem, —
Zostały ruiny i świeże podanie:
Legenda, czy prawda, — ja nie wiem.

W noc każdą, gdy księżyc nad zamkiem popły-
[nie
I łąki osrebrzy, i gaje,
Z grobowców zamczyska — w północnej godzi-
[nie
Cień bladej dziewicy powstaje.

Powstaje, obchodzi komnaty zamczyska
I jęczy, i zcicha zawodzi:

Widzieli ją ludzie zdaleka i zblizka
I sam ją ksiądz widział dobrodziej...

Lecz chociaż i na mszę dawano za duszę,
By miała spoczynek cierpiąca:
Duszyczka czyścowe snać znosi katusze,
Znów zjawia się z blaskiem miesiąca...

Czem była za życia, za jakie przewiny
Bóg dotknął w surowym ją gniewie,
I czemu porzuca próg wiecznej krainy,
I czego pożąda, — nikt nie wie.

Raz młodzian uczony, przybyły z tej strony,
Gdzie w strachy nikt z ludzi nie wierzył,
Z przesądów, jak mówił, chciał zedrzeć zasłony:
Noc w zamku przepędzić zamierzył.

Więc w krześle dębowem zasiada i czeka, —
Na licach ma uśmiech niewiary...
Dziewiąta, dziesiąta... ni ducha, ni człeka...
Cyt... północ już biją zegary...

Nim jeszcze ostatni raz przebrzmiał złowrogi,
Podwoje rozemkną się z trzaskiem:
Cień bladej dziewicy wstępuje w te progi,
Oblany księżyca odblaskiem.

Twarz cudna, choć blada, lecz w oku gra płomię,
Na ustach drży prośba, czy skarga,
A z całej postaci wyczytasz widomie,
Że boleść wewnętrzna ją targa.

Postąpi w księżycu lękliwie, niepewnie,
Jak błędna, wyciąga w dal dłonie,
A potem tak westchnie żałośnie i rzewnie,
Jak ta, co płacz jeden ma w łonie...

Wtem spojrzy na stronę i zoczy młodzieńca,
Poskoczy i zadrży radośnie, —
Na twarzy wykwita kwiat pierwszy rumieńca,
Już przy nim, już szepce miłośnie:

— Ach! jesteś nareszcie, kochanku mój złoty!
Czekałam cię duszą stęsknioną:

Patrz! usta me wyschły od pragnień pieszczoty
I pożar wypalił me łono.

Jak wątła kwiecina, gdy żar ją wysusza,
Kwiat roni i więdnieć poczyna,
Tak ciebie me serce, tak ciebie ma dusza
Pragnęła, jak rosy kwiecina...

Kim jestem, nie pytaj!—na ziemskim padole
Pokusę dawałam w uśmiechu:
Nie znałam miłości, iecz znałam swawolę,
Swawolę upojeń i grzechu.

Dziś za to bezdennie, bez końca, bez miary,
Bez liczby zalotnej rachuby,
Dziś pragnę miłości, dziś pragnę ofiary:
Ofiarą być pragnę, o, luby!

Bo temu, kto w życiu wdzięk Boży postrada
I serca ni razu nie wzruszy,
Po śmierci mu biada i wiecznie mu biada:
Pragnienie i wieczny głód duszy!

Tyś zbawcą, o, luby! nie zwlekaj, pójdź ze mną!
W księżyca się blaski przystroim,
Pomkniemy złączeni w krainę tajemną —
Tyś — moim, tyś — moim, tyś — moim!

Tak szepce i zimnem okoli ramieniem,
I pieści go czuła i tkliwa...
Młodzieniec drży blady: pod mroźnem dotknie-
[niem
Śmiertelny pot z czoła mu spływa...

Nad ranem młodzieńca niebacznej ochoty
Odwiedzić ktoś poszedł życzliwy:
Przez szyby się wdzierał słoneczny blask złoty,
Zaś w krześle był młodzian — nieżywy.

To maj — to maj!...

Wiosennych tchnień
Rozsnuty huf,
Jak złoto, dzień
Z promiennych snów...

I wszędy czar,
I wszędy wdzięk,
Ożywczy gwar,
Jarzący blask, —
Niebiosom dzięk
Za mnogość łask,
Za świetny strój,
Za złoty rój,
Za światła zdrój,
Rozmnożny dar,
Wskrzeszony wdzięk,
Wrócony czar,
Wrócony raj...
To—maj, to—maj!...

Gdzie spojrzy wzrok,
Zieleni — mrok...
Świetnością barw,
Śród girland, szarf,
Zawojów, ram,
Liściastych bram,

Splecionych wież, —
Stokami — wszerz,
Skroś strojny las,
Skroś wieńce wzgórz,
W zieleni zórz,
Przywdziawszy pas,
Na słodki wczas,
Na gody — swat,
Już powstał, już —
W odnowie szat,
Zielony świat!

I kwiatów skarb
Dokoła lśni:
Śród setnej gry
Kolorów, farb...
Czeremchy krzew,
Jak śnieżny płat...
Jabłoni kwiat,
Jak w kroplach krew...
I w blaskach zórz
Pons żywych róż...
I bzy — i bzy:
Liliowe mgły.

A woń, a woń!...
Aż mdleje skroń,
Aż w piersi toń
Zapada ślad
Woniącej mgły,
Że serce drży,
Jak kwiat, jak kwiat!...

Od leśnych stron,
Od leśnych stref,
Jak srebrny dzwon,
Rozgłośny śpiew...
Tysiącznych par
Uciecha, gwar,
Skłócony chór...
Jak z dzwięcznych szal,
Dzwoniących fal
Szaleństwo, śmiech,
Oddźwięczny wtór, —
Aż jęczy bór
W najdalszy skraj,
W rozbiciu ech
Radosnej mgły,
Przez rade łzy
Aż łka, aż drży —
Jak żywy gaj:
To—maj, to—maj!...

I cały świat,
Jak jeden sad,
Jak jeden kwiat,
Jak senny czar,
Jak rajski jar
Z kwiatami wbród,
Jak jeden cud,
Jak jeden raj:
To—maj, to—maj!...

O! dziewczę, pójdź!
Na kwietną błoń,
Zieleni toń
Odbijmy łódź!

I płyńmy tak
Po morzu traw —
Na złoty szlak,
Na szczęścia zjaw, —
Za tysiąc staj
Do złotych wrót,
W nieznany kraj,
Gdzie pieśń, gdzie cud,
Szmer sennych wód,
Czar młodych lat,
Bez cierni kwiat,
Bez bólu trud,
Bez grzechu raj:
Gdzie maj—gdzie maj!

Sonety małe.

I.

JESIENIĄ.

Po morzu liści
W złotej pożodze,
Jak ci psalmiści,
Za duchem brodzę...

I co się w drodze
Innym nie iści,
To ja, złociściej
Rojąc, znachodzę.

Cudna jesieni!
Przedśmiertna zorzo!...

Nad blask promieni,
Nad wiosnę hożą
Ciebie przełożą —
Jak ja — stęsknieni.

II.

Ani-m ja w złocie...

Ani-m ja w złocie,
Ani w purpurze,
Ani mi krocie,
Ni zyski duże, —

Lecz w ciągłym locie,
Przez walki, burze,
Jako sierocie,
Tęsknić gu górze...

Ku temu słońcu,
Co — niepojęte,
Zaszczepia w gońcu
Rajską zachętę
I trawi w końcu
Nieosiągnięte.

III.

* * *

Dla jednych chwile
Płyną radośnie,
Jak w pierwszej wiośnie
Płoche motyle, —

Dla drugich — w pyle,
Opak i skośnie,
W starganej sile,
W bólu, co rośnie...

Dla mnie ta kolej: —
Ani niewoli,
Ani też boli
Dolą okrutną,
Ale mi smutno,
Do grobu smutno.

V.

Wiosna.

Wiosna na dworze!
Z gór płyną zdroje,

Ziemia i morze
Rozkuły zbroje...

Pąk w gaju, w borze
Pęka na dwoje...
Ja serce moje,
Jak pąk, otworzę...

Powiem—nie schlebię:
Serca pieszczotą,
Ducha tęsknotą,
Jak słońce w niebie,
O! moje złoto!
O! kocham ciebie!

V.

*

* *

W tobie-ż to była,
Kochanko moja,
Osłoda miła,
I tarcz, i zbroja?...

Cud- mój -dziewoja,
Przyjaźń zażyła,
Wszystka ostoja
I wszystka siła?...

Dziś mi za całe
Szczęście na świecie
Pamięć w odwecie, —
Dziś skamieniałe
Serce zakałę
Niosę w sonecie.

Jesienią.

I.

Nad wszystko, co tu
Z chwilki i z lotu
Tak pokalanie
Ulęga zmianie, —

I nad zaranie
Wdzięków, szczebiotu, —
Nimf ziemskich splotu
Płoche igranie:

Ciebie — psalmista
Cichego stroju, —
Ciebie, o, ksieni
Wielka pokoju!

Tęskna, przeczysta —
Kocham, jesieni!

⁂

II.

Kocham na kresie
Blasków twe kwiaty,
Wino, co pnie się
U twojej szaty, —

Dzięciołów czaty
W ogromnym lesie,
Ciszę, co niesie
Echa w zaświaty...

Twoje żórawie
Odlatające,
Pustkę na stawie,
Tęskność na łące, —
Tron w blasków grodzie —
Tam — na zachodzie...

⁂

III.

Przez obszar złoty
Cichego rżyska,

Gdzie słońce groty
Pieszczące ciska, —

Przez te siedliska
Niemej tęsknoty,
Pod twe namioty
Idę, o, blizka!...

I jak po boju
Żołnierz sterany,
W twoje ramiona
Odnoszę rany:
Błogosławiona
Ciszo pokoju!...

⁂

IV.

A gdy — co roję
I co tu święcę —
Trwogi dziecięce
W śmierci ukoję, —

Ciężką po męce
Zdjąwszy mi zbroję,
Ty — jak na ręce,
Weź duszę moję!

I nieś ją do tej
Wielkiej znamiennej
Ciszy ku stronie,
Gdzie w blaskach złotej
Gloryi promiennej
Ołtarz twój płonie.

ZWROTKI.

I.

Ja nie mam w ręku lutni,
Od której blasków łuny,
Lecz w sobie gram i serca
Własnego targam struny...

Nie tylko więc to życie
I trud pieśniarskiej doli,
Lecz i ta lutnia we mnie,
O! jak ta lutnia boli!..

II.

Poezya—to nie kwiecie kastalskich wybrzeży,
Ona w sercu się rodzi i bólem się mierzy —

I tylko ta w poezyi pieśń iście prawdziwa,
Która właśnie z tych cierpień usnuta przędziwa.

Ale poezye znowu o najgłębszej treści —
Nieme, gdyż niemy wyraz najgłębszej boleści:
Jak cienie, je przesuwa Arcy-Mistrza ręka
Przez duszę, co zamiera, przez serce, co pęka.

><

III.

— Wędrowcze! witamy cię z drogi!
Chwalonem niech imię twe będzie!
Z nim razem to śpiewne narzędzie, —
Do chaty wejdź naszej ubogiej!

— Złóż harfę i z nami dziel strawę!
Błogosław nam wedle zwyczaju —
I powiedz: z jakiegoś sam kraju
I jakie ci nieba łaskawe.

I pieśniarz rzekł:—Kraj mój rodzinny!...
Strop niebios, łagodnie świetlany...
Tam złotem kołyszą się łany...
Tam słynął lud z cnoty gościnnej...

Lecz dzisiaj — o, hańbo, o, sroga!
W pogardzie ma święte ołtarze...
Więc chodzą zbłąkani pieśniarze,
Bo niemasz dla harfy tam proga!

⁂

IV.

(*z Hammerling'a*)

Na dumnem czole górskich szczytów
Wieczysty leży śnieg —
I próżno promień od błękitów
Ku niemu skreśla bieg...

I tylko kiedy słońce pada,
Konając we krwi zórz,
Śmiertelny odblask na nim składa:
Apoteozę z róż.

I twoja dusza, o, poeto!
Jako ten górski szczyt:
Nad wszystkiej doli zmiennej metą,
Dla której—szczęścia świt...

I tylko kiedy serce kona,
To serce, pełne zórz,
Na czole błyska rozjaśniona
Apoteoza z róż.

⁂

V.

Gdy miłość w płomyku
Narodzi się w oku,
Tuż obok w kąciku
Kolebka łzy w mroku...

Więc razem, jak dzieci
Z ojcostwa jednego:
Gdy miłość odleci,
Łzy za nią pobiegą.

⁂

VI.

(*naśladowanie Hejnego*)

Kochałem dzień jasny, pogodny, wiosenny
I słońce na niebios lazurze,
Kochałem maj cudny, co ziemię w raj zmienia,
I lilie kochałem, i róże...

Dziś kocham dziewczynę, a czyli sny moje
Szczęśliwiej się kiedy wywróżą,
Gdy ona mi rajem, i majem, i dzionkiem,
I słonkiem — i lilią, i różą.

⁂

VII.

Gdym wchodził, o, szczęście ty cudne!
W twe progi ustronne i schludne,

Z trawników przez całe podwórze
Witały uśmiechem mnie róże...

I chyląc się wszystkie w mą stronę,
Szeptały radośnie spłonione:
— Wędrowcze, wędrowcze! spiesz do niej!
Ach, piękniej tam ona się płoni!

⁂

VIII.

Gdy patrzę na ciebie, o, moje kochanie!
Nie pragnę bogactwa wymowy,
Bo w każdem spojrzeniu ci składam wyznanie
I cały poemat gotowy.

I tylko bym klęczał u nóg twych, jak dziecię,
I tonął w twych oczu błękicie,
I śniłbym tak lata, nie wiedząc o świecie,
Dopóki nie prześni się życie.

⁂

IX.

Ach! jakież to blaski od twego okienka
Tak biją, że płonąć się zdaje?...
To z osłon różowych sennego marzenia —
To moje słoneczko powstaje...

Jak ptaszę olśnione, gdy słońce na wschodzie
Złociste otwiera podwoje:
Tak serce me wzbiera i pieśnią rozbrzmiewa:
Dzień dobry ci, słońce ty moje!

⁂

X.

W noc piękną i miesięczną
U proga stojąc chaty,
Modlitwę cichą, wdzięczną
Za gwiazd wysłałem światy...

I serca czyste zdroje
Trafiły snać do Boga,
Bo wszystkie myśli moje
Ku tobie zwrócił, droga!

⁂

XI.

Gdym wchodził do twego ogródka,
Noc namiot rozpięła wspaniały,
I wszystkie w nim gwiazdy świeciły,
I wszystkie słowiki śpiewały.

Gdym ciebie przycisnął do serca,
O! cudzie niebiańskiej muzyki:

W mej piersi, słońcami wezbranej
Tysiączne rozbrzmiały słowiki.

⁂

XII.

Płakałem dzisiaj, droga!
Płakałem dzisiaj we śnie,
I łzy płynęły z oczu,
Płynęły mi boleśnie—

I łkania niestłumione
Szarpały moje łono,
Bom widział cię nieżywą,
Bom widział cię straconą.

Zbudziłem się i głowę
Na piersi twoje kłonię.
I czuję żywe wdzięki,
Na szyi żywe dłonie —

I znowu śnię na jawie
Sen piękny mój, uroczy,
Lecz dotąd patrz, o, droga!
Łez pełne moje oczy.

⁂

XIII.

Ta piosnka usnuta, o, dziewczę!
Z twych spojrzeń czarownych przędziwa,
Z uśmiechów, co na twe usteczka
Sfruwają, jak wróżba szczęśliwa, —

Z twej cudnej postaci widoku
I z blasków twojego oblicza:
I przez to tak prosta, tak wdzięczna,
Tak skromna, tak czysta — dziewicza.

⁂

XIV.

Ach! czemże mam ciebie opiewać
Gdy wyraz, choć dźwięki ma przednie,
Pod wdzięku twojego urokiem
I milknie, i gaśnie, i blednie:

Ty, blasku! ty, zorzo zaranna!
Ty chlubo niebieskich żywiołów:
Ty z dziewic najbardziej anielska,
Najbardziej dziewicza z aniołów!

⁂

XV.

Gdy patrzę na ciebie, o, złoto!
Blaskami tak duszę mą poję,

Że wnet bym chciał w rymy uplatać,
Co wdzięczne, co piękne, co — twoje...

O! pozwól mi, pozwól bez końca
W cud patrzeć niezmiennej jutrzenki,
Dopóki nie stworzę o tobie
Piękniejszej nad wszystkie piosenki.

⁂

XVI.

Snem życie to moje, przelotnem rojeniem
I zmierzchem—i cieniem—i mrokiem,
A w śnie tym tyś mojem najsłodszem widzeniem,
Marzeniem — widokiem — urokiem —

Gdy śmierć mnie obudzi pod brzasków świtanie
I duszę do słońca powoła,
Tam, długo mi jeszcze jaśniejąc, zostanie
Widzenie ziemskiego anioła.

⁂

XII.

Gdy w śmierci się wypełni
Widoma dni mych miara,
Żyć będę gdzieś w przestrzeni,
Jak cień, jak duch, jak mara...

I w każdą noc miesięczną
Nad twoje spłynę łoże,

Całunków niewidzialnych
Na ustach tysiąc złożę.

⁂

XVIII.

Gdy zawód w grobie złoży
Dzień szczęścia ludzkiej zorzy,
Zostają pośród cienia,
Jak gwiezdny rój, wspomnienia...

Choć świecą, już nie grzeją
Radością i nadzieją,
Nie mają żywej mocy
Te gwiazdy — życia nocy.

⁂

XIX.

Dlaczego, choć losu wyrokiem niezmiennym
Serc naszych zerwane ogniwa,
Dlaczego w marzeniu nawiedzasz mnie sennem,
Tak widna, tak jasna i żywa...

I duszę mą wdziękiem upajasz obrony,
Tysiączną tkliwością szczebiotu,
Żem płakać i śmiać się ze szczęścia zmuszony,
Z mych marzeń najdroższych powrotu.

⁂

XX.

Nie wierz, gdy przyjdą ci obwieścić,
Żem umarł w życia maju,
Lecz wierz, że zawsze wierny tobie,
Gdzieś w obcym tęsknię kraju...

W kraju, gdzie wiecznie cudna jesień
I słońca blask lśni złoty...
Pośród cyprysów smutny chodzę
I co dnia mrę z tęsknoty.

⁂

XXI.

Ja grzeszny jestem, o, pani!
Czyż taić się wielce mam:
Mych grzechów na skórze baraniej
Nie spisałby dyabeł sam...

Jam grzeszny, lecz za to w odwecie
Los kary mi posłał dwie:
Z tych jedna, że żyję na świecie,
Zaś druga — że kocham cię.

⁂

XXII.

Pani! herby masz, tytuły —
Twoi goście i poddani,
Jak dzień długi, mówię tobie:
Jasna pani! jasnej pani!...

Więc i ja choć do tytułów
Przekonania nie mam wiele,
Tytułować będę ciebie:
Najjaśniejszy mój aniele!

⁂

XXIII.

Królestwo nasze małe: dwie tylko
Istoty sobie oddane,
Władza oparta na wzajemności,
Zaś królujemy na zmianę.

I zresztą — wszystko byłoby dobrze,
Szczęście by kwitło wzorowe,
Jedna rzecz tylko nas podkopuje:
To ciągłe wojny domowe.

⁂

XXIV.

Śpioch — mówią — niepoprawny!
Przestrogę za nic waży:
Nie marnotrawca jawny?...
W dzień biały śni i marzy!

O! tak, o! tak! śnię, marzę,
O tobie, wciąż o tobie, —
Z marzeniem mojem w parze
Nie ocknę się aż w grobie.

XXV.

Pokochaj mnie, dziewczę! patrz, wiosna
Po kwietnym przebiega kobiercu...
Pokochaj mnie, dziewczę! za miłość
Królestwo ci całe dam w sercu:

W mem sercu, gdzie tysiąc piosenek
Jak wierni czekają poddani,
By gromką cześć złożyć w okrzykach
Królowej, mistrzyni i pani!

⁂

XXVI.

Gdy Pan Bóg już widział, że ziemią
Pocieszyć mnie całkiem nie zdoła,
Darował mi z grona wybranych
Białego na własność anioła...

Z nim bywam na mieście, w teatrze,
W nim życie, w nim szczęście powziąłem...
A ludzie się patrzą, nie widzą,
Że chodzę dłoń w dłoni z aniołem.

⁂

XXVII.

— Nina jej było na imię...
Czujesz wdzięk piękna w naturze?...
Tak czystą była jej dusza...
Patrz!... anioł przemknął tam w górze...

A później — mała trumienka
W kadzideł i gromnic dymie...
Słyszysz, jak serce mi pęka?...
— Nina jej było na imię.

⁂

XXVIII.

Raz przed dziewczyną pustą, co pereł
Chwaliła piękny swój sznurek,
Rzekłem, że w sercu mojem piękniejsze
Zręczny by znaleźć mógł nurek.

Więc uwierzywszy—tak się zawzięła
Dziewczyna, pełna niestatku,
Że mi nie tylko perły wydarła,
Ale i serce w dodatku.

⁂

XXIX.

Po latach dwie dusze się zeszły
W zaświecie, gdzie wiecznych dróg szranki,
Tych, którzy słynęli na ziemi
Pod mianem: kochanka, kochanki.

I mierząc się chwilę w milczeniu,
Obłędnie, dusz tęsknych zwyczajem,
Minęły się, idąc w swą drogę,
Tułacze — tak obce nawzajem.

⁂

XXX.

Zima! zima!... wiatr, śnieżyca...
Jak zbłąkany bez noclegu
Upiór straszny, wstrząsa szyby,
Nasypuje płaty śniegu...

W taki wieczór z pieśnią szczęścia
Tonę w oczu twych lazurze
I całuję kwiaty świeże,
Usta twoje — usta-róże.

⁂

XXXI.

Anioła posłał pan na ziemię,
By zbadał ocznie sam,
Czy miłość kwitnie między ludźmi
I czy jest szczęście tam.

I gdy przed Pana wrócił jasny,
Spełniwszy zleceń kres,
Bez słowa zakrył twarz skrzydłami
I spłynął w potok łez.

⁂

XXXII.

Północnych gwiazd niebieskim szlakiem,
Na życia trud i bój
Niósł anioł duszę i czarownej
Wlewał w nią pieśni zdrój...

I tu — na ziemi piewca zerwał
Pierś do serdecznych ran,
Lecz co tam słyszał był, powtórzyć
Tryumf mu nie był dan.

⁂

XXXIII.

Perłę zgubiło dziewczę swawolne,
Więc płacze rzewnie po niej,
I szuka wszędzie, i z modrych oczu
Za łezką łezkę roni.

Dziewczyno moja! to widzę, głowę
Straciłaś w tym kłopocie:
Perełki jednej szukasz maleńkiej,
A gubisz — pereł krocie.

⁂

XXXIV.

Morze szumi, morze płacze,
Morze wznosi pierś prastarą —
Jakimś trudem, jakimś żalem,
Ciężką skargą, groźną karą...

Cyt!... w symfonii tej wiekowej,
Która wszystko w kole głuszy
Słyszę, słyszę najwyraźniej
Jęki własnej mojej duszy.

XXXV.

Nie bój się, dziewczę! obok siądź w łodzi,
Niechaj nas niesie fala odwieczna!
Nie bój się, dziewczę! pogoda pewna,
Morze spokojne, łódka bezpieczna.

A choćby nawet ginąć wypadło
Na tem przepastnem morskiem łożysku,
Czyż nie przyjemnie będzie o śmierci
Zapomnieć, w twoim tonąc uścisku.

⁂

XXXVI.

Mój maleńki ból kołysząc,
Śpiewała mi matka:
—Luli, mały! będziesz wielki,
Kiedy wzrośniesz w latka!

Prawda, matko! ból się rozrósł,
Pierś strasznie ugniata —
I już go nie ukołyszą
Wszystkie matki świata.

⁂

XXXVII.

To, co tu z kartek sznurem wyziera,
Jest cieniem, co zmysły mami,
Gdyż najpiękniejsze z mych wierszy właśnie
Kryją się między liniami...

Pisze je ducha dłoń niewidzialna,
Dłoń wielka, nielitościwa:
Ma za kałamarz me serce, pióra
Z własnych mych skrzydeł wyrywa.

⁂

XXXVIII.

...Więc było morze wielkie — życie,
A jam był majtek ladajaki,
Więc była skała — twoje serce,
I były oczy twe — majaki...

Więc choć o skałę twego serca
Łódź mego życia się rozbiła,
Nic nie żałuję, gdy na pomoc
Tyś mi ramiona rozchyliła.

⁂

XXXIX.

Nie, nie przysięgaj! Złamiesz wieczorem
To, co przysięgniesz mi rano:
Tyle już razy na tym padole
Przysięgę świętą łamano...

Lecz niespodziankę urządźmy sobie
Na czas przyszłości daleki:
Nie przysięgajmy sobie nic zgoła,
Za to kochajmy się — wieki!

XL.

W moim pokoju
Palma zielona
Bez słońca znoju
Z tęsknoty kona —

I tchnień ostatki,
Oddech już mrący,
Do ziemi-matki
Śle w kraj gorący:

Tam gdzie w powodzi
Żaru i blasków
Wielbłąd wychodzi
Na morze piasków, —

Tam gdzie dla skroni
Szereg namiotów
Od słońca chroni
Upalnych grotów, —

Tam gdzie uroczej
Przestwór oazy,
Gdzie strumień toczy
Podwodne głazy...

Tam gdzie jej czuła,
Siostra szczęśliwa,
Wianek rozsnuła,
W słońcu opływa...

XLI.

Na morzu płynie fala,
Tęsknotą mierzy bieg:
Tam czeka na nią zdala
Wytchnienia słodki brzeg...

Dobiegła i upada
Na piasków złoty skraj —
I wszystką boleść składa,
Z tysiąca drogi staj...

I piersi mej dolega
Tęsknota, smutek, żal,
Lecz nie masz dla nich brzega,
Jak dla tych szczęsnych fal...

XLII.

W przejętej po skraje
Mej duszy kościele
Ofiara się staje —
W krwi mojej i w ciele...

I płyną do góry
Od serca-ołtarza
Anielskie w niej chóry
I woń trybularza...

I ginie mi z oka,
Co ziemskie, nikczemne,

I biorę z obłoka
Święcenia tajemne...

O! chwilo, o, błoga!
Łzy szczęścia mi biegą—
I płonę — i Boga
Oglądam żywego.

><

XLIII.

W wieczornej natchnień porze,
Pragnienie roniąc czulej,
Jak kwiat, mój dobry Boże!
Me serce kielich tuli...

Za dnia, co błyska jaśnie,
Rozwarte czyni straże:
Ach! nieraz się zadraśnie
I nieraz plamą zmaże...

Nim, złotą pełniąc kolej,
Twe słońce się utrudzi,
Nie jeden raz zaboli
Śród obcych serc i ludzi...

Lecz oto dzień już pada
W wieczornych zórz ozdobie —
I cała dusza rada
Odpocząć z Tobą — w Tobie.

SPIS RZECZY.

	str.
Hymn	1.
Do ziemi	5.
Adam	35.
U świtu	47.
Ada	61.
Maska	87.
Siostra Łucya	119.
Świadomość-grzech	141.
Lalka	159.
Kamienne serce	195.
Chore dziecko	205.
Władka	213.
Z za świata	265.
Czekałem ciebie...	273.
Anioł miłości	280.
Matka	283.
Magdalena.	286.
Sen życia	288.
Syn wieku	290.
Niech inni wille...	293.
Trubadur	296.
Z cyklu: Pamiątki	299.
Ze wspomnień Ojcowa . . .	302.

Kwiat stracony . . . . . 305.
Do mojej piosnki . . . . . 307.
Nie wiem... . . . . 309.
Fragment z jednoaktówki „Żyje“ 311.
Ballada z jednoaktówki „Strachy“ 313.
To — maj, to — maj!... . . . 318.
Sonety małe . . . . . 321.
Zwrotki . . . . . 329.

Ważniejsze omylki, dostrzeżone w druku.

Str. 63 wiersz 4 od dołu: zamiast panamskim
czytaj panamskiem.

Str. 221 wiersz 11 od dołu: zamiast najprzedniej
czytaj: najprzedniejszej.

Str. 293 wiersz 1 (po tytule): zamiast Nie
czytaj: Niech

Str. 301 wiersz 8 od góry: zamiast Jak tu, tu dziś
czytaj: Jak ta tu dziś.

PG Jankowski, Jozef
7158 Rytmy i rymy
J265R87

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 15 25 25 14 015 2